Opłata uiszczona ryczałtem.

WARSZAWA, 1.IV 1936. — ROK II.

Nr. 5-6 (19)

LEWY TOR

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena pojedyńczego egzemplarza 30 gr.

TREŚĆ:

Adam Próchnik

FRONT LUDOWY CZY CENTROLEW?

W życiu politycznem działają dwie, w odwrotne strony skierowane, tendencje. Tendencja różniczkowania się i tendencja scalania się. Dążność do różniczkowania się jest rezultatem wysiłków, zdążających do budowania światopoglądów, do konkretyzowania zasad i metod działania. W zależności od pogłębiania się różnic, dążność ta wyraża się w kształtowaniu się odrębności organizacyjnych i w mniej lub więcej zawziętych walkach politycznych, lub też w krążeniu prądów ideowych w poszczególnych zespołach politycznych. Dążność do scalania się wynika z potrzeb walki o realizację programów, o urzeczywistnienie postawionych sobie zadań. Działanie wymaga skupiania wysiłków. Znajduje tu swój wyraz nieubłagana logika odwiecznych praw walki. Póki się obracamy głównie w sferze rozważań, dyskusyj, spekulacyj myślowych główny nacisk kładziemy na czynniki, które nas dzielą. Z chwilą jednak, gdy przystępujemy do odegrania roli czynnej, gdy stoją przed nami konkretne zadania walki, gdy na porządku dziennym pojawia się działanie, wszystko jedno, czy ma ono formę walki z wrogiem, czy budowania nowych form życia, na czoło wysuwają się czynniki, które nas łączą.

Bezwątpienia, że każdy moment, że każda chwila dziejowa jest terenem rozgrywających się walk. Ale waga poszczególnych momentów nie jest równa, ani jednakowa. Historja ma swoje epoki decydujące, epoki, w których procesy osiągają swoją zupełną dojrzałość. Otóż epoki przełomu mają swoją swoistą logikę. Wtedy bowiem właśnie na pierwszy plan wysuwa się działanie i konsekwencja działania, scalanie wysiłków. Myśl kroczy zawsze przed czynem. Myśl sprzyja rozwijaniu się czynników dzielących, czyn wysuwa naprzód czynniki łączące. Im więc mniejszą jest przestrzeń dzieląca myśl od czynu, im bardziej myśl nasza znajduje się pod tchnieniem konkretnego, realnego działania, tem silniej wpływa ją czynniki łączące.

Produktem owego procesu łączenia się, są te czy inne fronty. Front nie jest zatem rezultatem naszej woli, ale jest zjawiskiem historycznem. Tam, gdzie antagonizmy przybrały formę wojny, musi powstać front.

Ale podobnie jak proces różniczkowania się, tak i proces łączenia się nie jest nieograniczony. Nie prowadzi on nigdy do niwelowania wszystkich różnic i do całkowitego zjednoczenia. Pojęcie frontu zawiera w sobie pojęcie linji dwustronnej. Tam, gdzie jest front, tam jest nie jeden, ale są dwa procesy scalania się, procesy rozgrywające się po obu stronach owej linji. Zagadnienie jest jednak, gdzie ta linja ma zostać przeprowadzoną, gdzie są owe granice procesu łączenia się, gdzie jest ten punkt, począwszy od którego czynniki dzielące uzyskują przewagę nad czynnikami łączącymi. I w tym wypadku działają wyższe, nad naszą wolą, kierujące naszą wolą, czynniki historyczne. Jeżeli tam, gdzie wybucha wojna musi powstać front, to o linji owego frontu decyduje bezapelacyjnie cel walki. On określa, kto po obu stronach frontu się znajdzie. Po wybuchu wojny biegniemy wszyscy na front, ale nie możemy obrać stanowiska dowolnego, ale musimy stanąć po jednej stronie barykady, po tej, po której się znajdujemy, po tej, po której postawiło nas nasze położenie społeczne i ideologja, którą żywimy.

Żyjemy w tej chwili pod znakiem frontu ludowego. Pojęcie tego frontu, jest już dziś pojęciem ściśle określonem i nie budzącem wątpliwości. We Francji obejmuje ów front lewicę radykałów, socjalistów i komunistów. W Hiszpanji w skład frontu ludowego wchodzą: lewica republikańska, socjaliści i komuniści. A więc front ten jest frontem całej lewicy społecznej. Struktura owej lewicy społecznej może być w różnych krajach, zależnie

od panujących tam warunków społecznych i politycznych inna, np. w krajach rolniczych poważnym czynnikiem frontu ludowego muszą się stać stronnictwa chłopskie, ale jeden fakt pozostaje powszechnym i wspólnym dla wszystkich krajów, front ludowy obejmuje całość lewicy społecznej. Wynikają z tego dwie podstawowe zasady, określające charakter ugrupowań politycznych obecnej przełomowej doby: 1) front ludowy nie może objąć żadnej grupy, która nie jest lewicą społeczną, 2) front ludowy nie może pominąć żadne jgrupy, która jest lewicą społeczną. Albowiem nie można szukać sprzymierzeńców i kombatantów po drugiej stronie barykady i nie można, niema powodu nikogo pozostawić na uboczu, kto jest po tej samej stronie barykady.

Ale pojęcie lewicy społecznej jest pojęciem ogólnikowem i elastycznem. Wymaga ono więc sprecyzowania. Albowiem w gruncie rzeczy w pojęciu lewicy społecznej niema miejsca na czynnik dowolności. O składzie lewicy społecznej decydują momenty objektywne, historyczne, decydują istniejące fakty i ich tendencje rozwojowe. Jakież to są owe fakty objektywne? Wymienimy dwa zasadnicze: 1) faszyzm i 2) bankructwo kapitalizmu. Jakież są ich tendencje rozwojowe? Znów wysuwamy na czoło dwie: 1) dążenie do obalenia faszyzmu i 2) rozpoczęcie planowej budowy nowych form ustrojowych. Zagadnienia te są czołowymi zagadnieniami naszej współczesnej rzeczywistości. W dobie obecnej zatem pojęcie lewicy społecznej sprowadza się do sprawy ustosunkowania się do tych zagadnień. Obóz lewicy społecznej jest to więc obóz, obejmujący tych wszystkich, którzy chcą przyłożyć ręki do likwidacji faszyzmu i chcą przystąpić do stawiania w miejsce upadających kapitalistycznych form wytwarzania, socjalistycznych podstaw nowego życia. To są właśnie cele toczącej się walki, które decydują o linji frontu, to jest miejsce, w którem stoi barykada. Lewica społeczna i łączący ją front ludowy, są przeto objektywnym rezultatem takiej, a nie innej obecnej sytuacji. Nie jest zatem front ludowy dowolną koncepcją polityczną, ale określoną przez historję formą politycznego grupowania się. Nie można więc sprowadzać frontu ludowego do roli tylko frontu antyfaszystowskiego. Front ludowy nie spełniłby swej roli historycznej, gdyby ograniczył się do zadań wyłącznie negatywnych. Istotą frontu ludowego jest właśnie organiczne złączenie działania negatywnego z działaniem konstruktywnem. Front antyfaszystowski, celowości jego nie negujemy, obejmuje również czynniki wyrzekające się przebudowy społecznej. Z nimi wspólna nasza droga jest bardzo krótka. Nie może być front ludowy frontem, który rozpada się w samym ogniu walki.

Różnice między pojęciem frontu ludowego, a znanem w Polsce pojęciem centrolewu zarysowują się zatem całkiem wyraźnie. Centrolew był to typowy front antyfaszystowski, o podłożu wyłącznie negatywnem. Od frontu ludowego różni się on pod względem: 1) swego składu i 2) swej treści ideowej. Centrolew obejmuje więcej od frontu ludowego, bo obejmuje również czynniki stojące poza lewicą społeczną, czynniki wyraźne odseparowujące się od wszelkiej myśli zasadniczej przebudowy społecznej, i obejmuje mniej od frontu ludowego, bo nie obejmuje całej lewicy społecznej. Przy takim swym składzie centrolew nie może być zatem zespołem o konkretnych celach ustrojowo - społecznych, do czego aspiruje front ludowy, co jest racją jego istnienia.

Należy więc ostrzec jak najbardziej stanowczo — przed przejawiającymi się dziś tendencjami podszycia pod pojęcie frontu ludowego starego i dziś już całkowicie nieaktualnego pojęcia centrolewu. Front ludowy to nie jest nowa terminologja centrolewu, to rzecz treściowo zupełnie różna. Nie mamy na tem miejscu zamiaru rozprawiać się z słusznością czy niesłusznością centrolewu w swoim czasie. Różnica między ówczesnym centrolewem, a dzisiejszym frontem ludowym bowiem, jest to różnica między dwiema różnemi epokami dziejowymi. Podstawową cechą tej różnicy jest to, że dziś mamy do czynienia z bezpośredniością przełomu społecznego, że ustrój kapitalistyczny wszedł już w fazę swej niezdolności do życia. I dlatego też front o celach wyłącznie negatywno - politycznych nie odpowiada owym nowym warunkom.

Koncepcja centrolewu odżywa dziś w planie związku obejmującego wyłącznie polskich socjalistów i ludowców. Do centrolewu z wyborów r. 1930 brak tylko enpeerowców, nie odgrywających dziś żadnej roli politycznej. Nie mamy najmniejszego zamiaru występować przeciw udziałowi ludowców w froncie ludowym. Jest on niezbędny. Front ludowy musi objąć wszystkie ugrupowania robotnicze, chłopskie i inteligenckie, stojące na stanowisku walki z faszyzmem i przekształcenia ustroju. Ale nie może się on zatem ograniczyć tylko do ludowców.

W stosunku zaś do ludowców podnieść musimy dwa momenty. Nie są oni obozem zupełnie jednolitym. Obóz ten przeżywa teraz pewien proces rozwojowy. Działają w nim różne czynniki, częściowo sprzeczne. Nie jest ten obóz całkowicie już dojrzały do frontu ludowego. Rzecz ma się tu podobnie jak z radykałami francuskimi, których prawica w froncie tym nie uczestniczy. Nie można więc zgóry odrzucić możliwości, że coś podobnego nie zajdzie i u nas, jeżeli front ludowy ma być frontem przebudowy społecznej. Drugie zastrzeżenie odnosi się do forsowanej dziś w stronnictwie ludowem koncepcji prymatu chłopów. Słyszymy głosy, że Polska ma być rządzoną przez chłopów. Robotnikom przyznaje się łaskawie rolę pomocniczą, o ile zechcą się podporządkować. Otóż podstawą frontu ludowego musi być przekonanie, że sprzeczność między interesami chłopów i robotników nie istnieje, że cała lewica społeczna jest jednakowo w tem zainteresowana, aby Polska wkroczyła na drogę planowej przebudowy społecznej. Prymat tej idei jest jedynym prymatem, który może istnieć w łonie frontu ludowego. Nie może być w

tym bratnim związku kopciuszków.

Objektywne warunki prowadzące do frontu ludowego działają bezustannie. Aż nadto mamy w współczesnej dobie dowodów, jak warunki te tryumfują nad zastarzałymi pretensjami i antagonizmami, nieuniknionymi pozostałościami doby minionej. Zjawisk tych nie należy traktować jako faktów oderwanych, ale jako fazę rozgrywającego się procesu. Dalszą fazą tego procesu jest front ludowy. Kontury jego zarysowują się na tle tworzącej się teraźniejszości.

H. Żółtowski

Socjalizm i wojna*)

4. JAKOBIŃSKA WALKA O WŁADZĘ.

Na czemże więc ma polegać „jakobińska" taktyka proletarjatu w państwach tej koalicji antyfaszystowskiej?

Jakobini byli najskrajniejszym, najbardziej lewym odłamem francuskiej rewolucji mieszczańskiej wieku 18-go. Wybuch tej rewolucji wywołał niebezpieczeństwo napaści ze strony rządów feodalnych w Europie. Jakobini, dopóki mogli, przeciwdziałali tej wojnie i w odróżnieniu od bardziej umiarkowanych kierunków bynajmniej nie „spekulowali" na wojnę. Ale gdy mimo ich wysiłków wojna w końcu wybuchła, jakobini nie zastosowali taktyki pacyfistycznej, lecz ogłosili hasło obrony rewolucji i zmobilizowali dla tej obrony olbrzymie masy ludowe. Czy jednak czynny udział w tej wojnie skłonił ich do pojednania z wrogami rewolucji we własnym kraju? Wręcz przeciwnie! Zaostrzyli oni tę walkę wewnętrzną, zaczęli demaskować i piętnować wszystkich zakapturzonych zwolenników dawnego ustroju, wszystkich zdradzieckich generałów i dygnitarzy arystokratycznych, skłonnych do ugody z reakcyjnymi najeźdźcami, nie cofnęli się nawet przed zastosowaniem ostrego teroru rewolucyjnego i dzięki tej swoje taktyce zdobyli dla siebie władzę w państwie.

Zupełnie podobne „jakobińskie" stanowisko zajmowali również Marks i Engels w pięćdziesiąt lat później, w epoce rewolucji 1848 r. Stojąc wobec groźby interwencji wojsk carskich przeciwko rewolucji zachodnio - eropejskiej (interwencja ta istotnie nastąpiła potem na Węgrzech), — Marks i Engels domagali się przekształcenia wojny z caratem w rewolucyjną wojnę o zwycięstwo „demokracji europejskiej", przyczem pokierować wojną mieli, rzecz prosta, nie zdradzieccy królowie i książęta, lecz właśnie radykalna demokracja rewolucyjna, która powinna wyzwolić ludy, jęczące w niewoli carskiej, ogłosić niepodległość Polski i t. d. Nawet w czasie wojny francusko-niemieckiej z r. 1870/1871 Marks nie odnosił się obojętnie do zwycięstwa tej lub innej strony, lecz uważał najpierw narodowe zjednoczenie Niemiec za cel objektywnie postępowy, a porażkę Napoleona III-go za pożądaną, pozatem zaś, po zwaleniu Napoleona, uważał za rzecz najważniejszą porażkę świeżo upieczonego cesarstwa niemieckiego.

Dodajmy, że również i bohaterscy bojownicy Komuny Paryskiej, którą Marks uważał za pierwowzór dyktatury proletarjatu, stosowali w zasadzie taktykę jakobińską, gdyż doszli do władzy między innemi dzięki przeciwstawieniu się **zdradzie narodowej** polityków i generałów burżuazyjnych i w imię tem energiczniejszej walki z reakcyjnym najeźdźcą.

Czyż nie są to wszystko uderzające podobieństwa z obecną epoką wszechświatowej rewolucji społecznej? Czyż i Lenin nie wskazywał zawsze, że nie może być mowy o jakimś niezmiennym, zawsze jednakowym stosunku proletarjatu do wojny „wogóle"? Czyż nie dowodził on, że stosunek ten musi być inny do zaborczej wojny imperjalistycznej, inny do narodowo-wyzwoleńczych powstań ludów podbitych i kolonjalnych, a jeszcze inny do wojen rewolucyjnych?

Autorzy tez dowodzą,że pomimo wszelkich różnic wzory jakobińskie jeszcze i dziś mają wielką wartość dla rewolucyjnego proletarjatu międzynarodowego. Świat pracy, ich zdaniem, nie może mieć żadnego zaufania do rządów kapitalistycznych nawet w państwach koalicji antyfaszystowskiej, sprzymierzonych ze Związkiem Radzieckim. Zarówno te rządy jak i sztaby generalne w tych państwach idą wszak na sojusz z ZSRR tylko pod przymusem, tylko ze strachu przed zaborczością swych faszystowskich sąsiadów lub spólzawodników. Ich dążeniem będzie więc zawsze **wyzyskać** siłę i pomoc państwa robotniczego, lecz zdradzić je i nawet, być może, zwrócić się przeciw niemu przy pierwszej dogodnej sposobności. Powtóre, rządy i sztaby państw imperjalistycznych będą zawsze usiłowały skorzystać z ewentualnego **swego** zwycięstwa, aby zrealizować **swoje** plany zaborcze, będą usiłowały przeciwstawić się przemocą wszelkiej próbie przewrotu rewolucyjnego w dawnych państwach faszystowskich, będą usiłowały zwalić na **lud niemiecki** czy japoński nowe ciężary. Potrzecie, burżuazja uważa wojsko za naturalne narzędzie swego panowania klasowego i usiłuje uczynić zeń redutę najgorszej reakcji i faszyzmu rodzimego przeciw rodzimemu ruchowi ludowemu. Podczas wojny tendencje te nietylko nie osłabną, lecz wzmocnią się jeszcze bardziej.

Oto dlaczego omawiane tu przez nas tezy i uchwały antywojenne odrzucają wszelkie koncepcje pokoju międzyklasowego nawet w demokratycznych krajach koalicji antyfaszystowskiej. Zarazem jednak nie można tu stosować żadnej taktyki, która mogłaby ułatwić wojskowe zwycięstwo napastników faszystowskich lub klęskę socjalizmu. Nie można np. wówczas przeciwdziałać mobilizacji, ogłaszać strajków amunicyjnych, osłabiać siły obronnej kraju. Tezy proponują więc, aby obóz wyzwoleńczy wziął tu czynny udział w obronie przeciw faszyzmowi, prowadząc jednocześnie bezwzględną walkę z reakcyjnemi i faszystowskiemi ten-

---

*) Patrz Nr. 4 „Lewego Toru".

dencjami w szeregach burżuazji i w aparacie państwowym, demaskując i piętnując jawne i zakapturzone żywioły zdradzieckie, dążące do ugody z faszystowskimi najeźdźcami kosztem świata pracy. Przedewszystkiem zaś tezy domagają się, aby proletarjat wytężył wszelkie siły i wyzyskał stworzone przez wojnę stosunki i nastroje dla zdobycia władzy w państwie.

5. CZY JAKOBIŃSKA TAKTYKA JEST MOŻLIWA?

Streszczając się, można powiedzieć, że zwolennicy tez antywojennych w szeregach socjalistycznych stawiają przed proletarjatem międzynarodowym jako naczelne zadanie walkę o zdobycie lub walkę w obronie zdobytej już władzy państwowej, wskazując ku temu trzy odmienne drogi w trzech zasadniczo odmiennych sytuacjach:

1. W Związku Radzieckim taktyka socjal-demokratów polegać ma na przyczynieniu się ze wszelkich sił do zwycięstwa nad imperjalistycznymi napastnikami.

2. W państwach koalicji faszystowskiej — na bezwzględnym defetyzmie rewolucyjnym, na przyśpieszeniu klęski wojennej rodzimego faszyzmu i na rozpętaniu rewolucji społecznej.

3. W państwach koalicji antyfaszystowskiej, sprzymierzonych z ZSRR, — na jakobińskiej rewolucyjnej walce o władzę, przy czynnym jednak udziale w obronie przed najazdem faszystowskim, **dopóki wojna posiada charakter antyfaszystowski** i nie obnażyła swych celów imperjalistycznych. Wówczas taktyka proletarjatu musi być taka sama, jak w krajach faszystowskich.

Jak widać, również i na tym najważniejszym punkcie konkretnego programu działania nastąpiło poważne zbliżenie stanowisk ogromnej części socjalistów ze stanowiskiem Dimitrowa i Erkolego. Ponieważ jednak pośród uczestników omawianej dyskusji niema jeszcze bynajmniej zgody na wszystkie wyłuszczone wskazania, i ponieważ są to zagadnienia, w taktyce proletarjackiej względnie nowe a bardzo ważne, przeto trzeba się jeszcze zatrzymać nad zarzutami, wysuniętemi przeciw propozycjom Bauera, F. Adlera czy też Dana i Żyromskiego.

O ile można uważać, że dwa pierwsze wskazania, dotyczące taktyki antywojennej w ZSRR i w krajach faszystowskich są naogół śród socjalistów bezsporne, to koncepcja taktyki „jakobińskiej" spotyka się z oporem z dwóch stron odrazu. Jej przeciwnicy, obracający się wyłącznie w kręgu pojęć z roku 1914, twierdzą, że między burgfrydenem i defetyzmem rewolucyjnym nie może być żadnej drogi „pośredniej". Tak np. organ lewych esdeków niemieckich, „Neu beginnen" („Zacząć nanowo) oświadcza:

> „Nie można jednocześnie służyć dwum bogom. Albo uważa się za główny cel zwycięstwo wojskowe, i wtedy jest się zmuszonym do faktycznego burgfrydenu. Albo też za główny cel uważa się skorzystanie z wojny dla zdobycia władzy, a w takim razie podczas walki o władzę trzeba pójść również na osłabienie siły wojskowej, gdyż jedno z drugiem jest nieuchronnie związane".

W rzeczywistości jednak nie chodzi tu wcale o żadną taktykę „pośrednią", lecz o znalezienie elastycznych metod walki zależnie od odmiennych i szybko zmieniających się warunków politycznych w krajach faszystowskich i antyfaszystowskich. Dopóki niektóre państwa kapitalistyczne przeciwstawiają się zbrojnie antysocjalistycznej krucjacie faszyzmu, dopóki są one z konieczności sprzymierzeńcami świata socjalistycznego, póty osłabianie ich siły bojowej byłoby ze strony proletarjatu czynem samobójczym. Sytuacja zmieni się zasadniczo z chwilą, gdy ze strachu przed rewolucją burżuazja będzie gotowa bądź zdradzić nawet interes narodowy własnego kraju i pójść na upakarzające ustępstwa dla najezdniczego faszyzmu, bądź spróbuje urzeczywistniać swe plany zaborcze i imperjalistyczne. Czyż jest do pomyślenia, aby w tych wszystkich tak różnych wypadkach proletarjat mógł zawsze stosować wciąż te same sztywne **formy** walki, mechanicznie wzorowane na zupełnie określonej, konkretnej sytuacji z roku 1914?

Oczywiście, że uważając taktykę „jakobińską" za nierealną i praktycznie niewykonalną, jej przeciwnicy wyprowadzają z tego zarzutu wręcz przeciwstawne wnioski.

Z jednej strony przedstawiciele kierunku prawicowego wypowiadają się za taktyką jedności narodowej, a z drugiej — neolewicowcy za defetyzmem rewolucyjnym we wszelkich warunkach.

Tak np. socjalista czeski, Zdenek Kojecki, uważa, że w imię porażki hitleryzmu i zwycięstwa Z.S. R. R. socjaliści w państwach demokratycznych powinni wziąć na siebie współodpowiedzialność za prowadzenie wojny, wstąpić do rządu ogólnonarodowego i t. p. Zwłaszcza ma to być nieodzowne w małych państewkach, szczególnie silnie zagrożonych przez przemoc najazdu faszystowskiego. Podobnie wypowiada się i Karol Kautsky, który radzi „odłożyć opozycję aż do czasu odparcia napastnika".

Zupełnie odwrotne stanowisko zajmuje „lewicowiec", Paweł Scheffler, który przyznaje, że np.:

> „skuteczny strajk amunicyjny mógłby w pewnych okolicznościach sparaliżować działania wojenne własnego kraju i w ten sposób zwiększyć możliwość zwycięstwa faszystowskiego napastnika. Ale czy wobec tego należałoby zaprzepaścić ten strajk ze względu na sytuację wojenną? W takim razie dochodzimy znowu do burgfrydenu".

Podobnie rozumuje i Marceau Pivert (Marso Piwer). Dowodzi on, że gdyby proletarjat w jakimkolwiek kraju i w jakichkolwiek okolicznościach poparł wojnę i dążył do zwycięstwa, to nieuchronnie stałby się narzędziem w rękach burżuazji. Dlatego niema mowy o obronie kraju w państwach burżuazyjnych, nawet gdyby to miało doprowadzić do klęski socjalizmu i do faszyzacji całej Europy. Samo pojęcie wojny rewolucyjnej jest dla Pivert'a „wielką herezją".

Na pozór wygląda to bardzo „rewolucyjnie", ale w rzeczywistości jest to ten sam „czysty", a więc wcale nieproletarjacki pacyfizm, z którym mieliśmy do czynienia u skrajnie prawego mieńszewika, Aronsona. Najjaśniej występuje to u Pivert'a. Zaczyna on od występowania przeciw obronie krajów „burżuazyjnych". Ale czy w państwach socjalistycznych stanowisko proletarjatu ma być inne? Logika zmusza autora do odrzucenia nawet i tego przypuszczenia. Istotnie, na str. 25 swej broszury Pivert oświadcza, że gdyby partja socjalistyczna zdobyła władzę w jakiemś państwie, to powinna zarządzić natychmiastowe rozbrojenie, nawet wówczas, jeżeli imperjaliści odrzucą propozycję rozbro

jenia powszechnego. Czyż trzeba dowodzić, że taka niezwykła „pokojowość“ nie ma nic wspólnego nietylko z rewolucyjnością, ale nawet i z samem pojęciem **walki** klasowej wogóle? Po tragicznym losie rewolucji węgierskiej, zduszonej przez interwencję zagraniczną, trudno byłoby chyba znaleźć takich świadomych proletarjuszy, którzy dzisiaj domagaliby się rozbrojenia — np. Czerwonych Chin, będących wszak jedynym ośrodkiem walki nietylko o społeczne ale i o narodowe wyzwolenie całego ludu chińskiego.

Nie mając nic wspólnego z marksizmem, stanowisko takie jest zato pokrewne drobnomieszczańskiemu pacyfizmowi, oparte jest bowiem na mistycznej nauce Lwa Tołstoja o „niesprzeciwianiu się złu“. Jeszcze i teraz niektórzy drobnomieszczańscy pacyfiści zajmują zupełnie podobne stanowisko. Gdy słynny pisarz - rewolucjonista, Romain - Rolland, wystąpił niedawno z płomiennem ostrzeżeniem, że pokój światowy jest niepodzielny, i że wobec tego wszyscy przeciwnicy wojny powinni solidarnie wystąpić przeciw faszyzmowi i hitleryzmowi, jako głównemu podżegaczowi wojennemu, to na łamach organu Frontu Ludowego „Vendredi“ (Nr. 13 z d. 31.I.1936) odpowiedział mu taki „aboslutny“ pacyfista, p. Challaye, że żadnemu napastnikowi nie należy przeszkadzać siłą, oraz że:

> „nawet gdyby Hitler pewnego dnia... zaatakował nas samych (tj. francuzów — H. Ż.), to nawet na rusztowaniu twierdziłbym jeszcze, że jedyną podstawą, służącą interesom naszego ludu i świata, byłoby **nieuczestniczenie w wojnie...** Okupacja cudzoziemska przyniosłaby ze sobą mniej trupów, mniej ruin, mniej cierpień ludzkich, niż wojna, prowadzona dla ich uniknięcia“.

Pan Challaye przyznaje jednak otwarcie, że zwycięstwo lub klęska socjalizmu, nic go nie obchodzi a nawet wyraźnie wychwala Hitlera i broni jego praw do rewizji granic traktatowych. Pod tym względem zgadza się on raczej z renegatem, rzekomo również bardzo „lewicowym“ Doriotem, który występuje dzisiaj jako namiętny przeciwnik sojuszu Francji z ZSRR a zato jako wielbiciel sojuszu z Hitlerem. Otóż, ten „absolutny“ pacyfizm, zrozumiały u wrogów lub renegatów socjalizmu, jest raczej niepojęty u ludzi, którzy chcą reprezentować „prawdziwą“ lewicę socjalistyczną.

Inni „neolewicowi“ krytycy tez antywojennych nie idą wprawdzie tak daleko, jak wspomniany poprzednio M. Pivert, ale zato nie są też i tak konsekwentni. Weźmy np. lewą mieńszewiczkę rosyjską, Domaniewską. Uznaje ona, że obrona państwa proletarjackiego i zdobycie władzy w państwach burżuazyjnych muszą być podstawą antywojennej polityki całego proletarjatu wszechświatowego. Uznaje ona również za:

> „bezwarunkowo słuszną politykę Rosji Sowieckiej zawierania paktów i sojuszów z jednemi państwami kapitalistycznemi w celu sparaliżowania siły innych wrogich ugrupowań“ —

Ale, uznając konieczność wyzyskiwania wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu w skali światowej przez rząd radziecki, Domaniewska odrzuca „taktykę jakobińską“, która wszak ma być tylko zastosowaniem tej samej taktyki wyzyskiwania wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu w poszczególnych państwach burżuazyjnych. Dlaczegóż jednak polityka i taktyka proletarjatu międzynarodowego ma być zasadniczo dwutorowa? Domaniewska odpowiada: dlatego, że tylko proletarjat, stojący u władzy, może być samodzielnym czynnikiem w polityce światowej i nawet w sojuszu z ugrupowaniami imperjalistycznemi nie pójść na ich pasku. Na rząd radziecki, mówi Domaniewska, nie może spaść odpowiedzialność za ewentualne postępki jego kapitalistycznych sojuszników. Natomiast w państwach burżuazyjnych:

> „proletarjat faktycznie nie może dzisiaj wpływać na politykę międzynarodową... Nie proletarjat wykorzystuje tu kapitalizm lecz kapitalizm wykorzystuje poparcie klasy robotniczej, gdy mu to jest dogodne“.

Domaniewska uważa, że proletarjat może stać się samodzielną siłą, czyli t. zw. **podmiotem** polityki światowej dopiero po zdobyciu władzy państwowej, aż dotąd zaś musi pozostać siłą bierną, czyli **przedmiotem** tej polityki. Jest to oczywista nieprawda. Zdobycie władzy, rozumie się, wielokrotnie **pomnoży** zasięg wpływów proletarjatu, tak samo jak jej nieposiadanie znakomicie te wpływy pomniejsza. Kto jednak nie widzi, że z jednej strony walka wyzwoleńcza proletarjatu już teraz jest doniosłym czynnikiem, kształtującym świat, oraz że z drugiej strony nawet samo zdobycie władzy nie wyklucza chodzenia na cudzym pasku, o ile nie jest połączone z jasną świadomością klasową swych celów i dróg działania? Tak samo sztuczne jest przeciwstawianie rzekomej wszechpotęgi odosobnionego rządu robotniczego rzekomej bezsile socjalizmu w państwach kapitalistycznych. Rządy imperjalistyczne będą z pewnością usiłowały „wykorzystać“ dla swoich celów tak samo siłę wojskową ZSRR jak i dążenie proletarjatu we własnym kraju do porażki faszyzmu. Gdyby np. Domaniewska miała słuszność, że poparcie, udzielone antywłoskim sankcjom ligowym przez obóz socjalistyczny, wyszło na korzyść tylko imperjalistycznym interesom Anglji, to „odpowiedzialność“ za to ponosiłby oczywiście tak samo rząd ZSRR jak i partje proletarjackie, które się tych sankcyj domagały. Również i w razie wojny sama polityczna i wojskowa siła Z. S. R. R. może okazać się wcale niedostateczną, aby zapobiec wykonaniu planów imperjalistycznych nawet uczestników koalicji antyfaszystowskiej. Nie może tu więc chodzić o sprawę „odpowiedzialności“ gdyż każda część obozu wyzwoleńczego odpowiedzialna być może tylko za własne błędy, a nie za postępki klasowo obcych lub wrogich sobie żywiołów. Chodzi natomiast o to, że tylko wspólna uzgodniona akcja **całego** międzynarodowego świata pracy może zadać śmiertelny cios faszyzmowi i imperjalizmowi i przyśpieszyć zapanowanie nowego ustroju społecznego na ogromnych obszarach Europy, Azji i innych kontynentów.

Nie ulega wątpliwości, że udział proletarjatu w obronie przeciwfaszystowskiej w krajach kapitalistycznych musi stwarzać stałe niebezpieczeństwo zejścia na zgubne tory ugody międzyklasowej. Ale najgorszą drogą do zwalczenia tego niebezpieczeństwa jest wmawianie masom pracującym tego, w co one i tak nie uwierzą, a mianowicie, że taki lub inny wynik wojny powinien im być rzekomo obojętny, lub też — że w historycznej rozprawie faszyzmu z socjalizmem powinny one w jakimkolwiek kraju wyrzec się skorzystania z wewnętrznych sprzeczności kapitalizmu.

WOLNA TRYBUNA

Na drodze ku jedności

Sprawa jedności działania i jedności organizacyjnej całej uświadomionej klasy robotniczej jest bodaj najaktualniejszem zagadnieniem chwili bieżącej. Nic też dziwnego, że kwestja ta wywołuje tak ożywioną dyskusję, gdyż naokoło jej obracają się wszystkie problemy taktyczne ruchu robotniczego.

Hasło jedności jest dziś niezmiernie popularne w szerokich masach proletarjackich. Zdrowy instynkt klasowy każe masom pracującym zewrzeć swe szeregi dla przeciwstawienia się nawale faszyzmu i kapitału. Doświadczenie lat ostatnich wykazały dobitnie jak to brak jedności doprowadził do osłabienia ruchu robotniczego i do triumfu wspólnego wroga. Szczególnie jaskrawo stoi przed oczyma świadomych proletarjuszy fakt sromotnej kapitulacji przed hitleryzmem dwóch nawzajem się żrących wielkich partyj robotniczych w Niemczech, z których jedna reprezentowała skrajny oportunizm, a druga skrajny „radykalizm". Reakcją na ten stan rzeczy jest obecny pęd ku jedności, z którym muszą się liczyć nawet dawni najzawziętsi zwolennicy walk bratobójczych.

Artykuł E. Zaleskiego w Nr. 4 „Lewego Toru" — „O przezwyciężenie fikcyjnych trudności" omawia również tę palącą kwestję w zastosowaniu do bliższej nam rzeczywistości. Niestety artykuł ten nie grzeszy zbytnią ścisłością no i... bezstronnością.

E. Zaleski omawia dwa zagadnienia stojące u nas na przeszkodzie do jedności działania: względy natury „prawnej" i kwestje zasadniczej oceny kontrahentów wspólnego frontu. Kilkoma ogólnikami załatwia się ze wszelkiemi zastrzeżeniami i przerzuca brak dobrej woli tylko na jedną stronę.

W istocie sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak tego chcą dowieść ci, którym przeszkody te wydają się być fikcją, tak samo zresztą, jak niedawno temu wydawała się im fikcją (o ile nie czemś gorszem) sama myśl o możliwości współdziałania dwóch podstawowych organizacyj robotniczych. Nad kwestjami temi należy zastanowić się nieco poważniej, o ile chce się je traktować nietylko z punktu widzenia uzyskania dogodnych atutów w walce konkurencyjnej.

Klasyczny „jednolity front" powstał i działa we Francji. Coprawda „wspólny front" dwuch partyj robotniczych coraz bardziej roztapia się w t. zw. „Ludowym Froncie". Ale dla interesującego nas zagadnienia możemy wziąć pierwszy okres „wspólnego frontu" jeszcze przed związaniem się z radykałami. „Wspólny Front" wyrażał się w stałem funkcjonowaniu „komitetu koordynacyjnego", wydawania wspólnych odezw i zwoływaniu wspólnych wieców z wymianą wzajemnych komplementów (które się E. Zalewskiemu tak nie podobają), wieców, no i (last but not least) uzgodnieniu wystąpień na terenie parlamentarnym.

Jakie formy jedności możemy przenieść na bliższy nam teren, w związku z naszą „rzeczywistą rzeczywistością"? Akcja parlamentarna odpada wobec braku tej instytucji. Wydawanie wspólnych odezw jest niemożliwe ze względów... technicznych. Funkcjonowanie stałych „komitetów koordynacyjnych" miałoby za skutek w krótkim czasie niemożność przebywania na posiedzenia jednej połowy jego członków (lepszy warjant), względnie uniemożliwienie funkcjonowania całego składu tego komitetu. Pozostają więc zebrania i wystąpienia, które z natury rzeczy noszą lokalny charakter i muszą być przystosowane do konkretnych warunków. Bezwzględnie należy dążyć do tego, aby wszelkie szersze wystąpienia były jednolite przez uczestniczenie w nich wszystkich odłamów robotniczych. Zresztą jesteśmy świadkami, że takie wspólne wystąpienia są u nas coraz liczniejsze stają się powoli zasadą zrozumiałą samą przez się. Chodzi tylko o to, aby neofici jedności zrozumieli, że istotną rzeczą jest **treść** wspólnej akcji, a nie forma, która nie może być u nas niewolniczo kopjowana z doświadczeń Francji czy Austrji. Nie ulega wątpliwości, że i w Polsce jednolity front urzeczywistnia się w praktyce, a zbyt namiętnemi napadami z powodu nieprzenoszenia wzorów francuskich (pod względem formy) nie przyczyni się do posunięcia sprawy jedności naprzód, o ile wogóle nie ma się na celu ubocznych względów demagogicznych wykorzystania dla siebie popularnego w masach hasła. Wszak zapewnie niejeden z nas był świadkiem, jak nieraz zebranie robotnicze (często nawet „jednolitofrontowe") było zakłócone a nawet zrywane spowodu zbyt głośnego manifestowania nagłego zapału do jednolitego frontu.

E. Zaleski usiłuje ten najważniejszy szkopuł usunąć przez powołanie się na przykład Welsa, który również chciał się ze względów legalności odgrodzić od komunistów. Jest to może zręczny chwyt polemiczny, ale nie ma to żadnego związku z omawianą sprawą. Po pierwsze, podstawowy grzech Welsa datuje się właśnie z okresu, gdy obydwie partje korzystały z legalności, ale zamiast obrony tych swobód demokratycznych, S. D. chciała odeprzeć Hitlera przez politykę „tolerowania" Brüninga i popierania Hindenburga, podczas gdy KPD drwiła sobie z różnic między demokracją a faszyzmem i gotowa była nawet wraz z hitlerowcami obalać rząd Brauna. Po drugie: głosowanie posłów esdeckich w Reichstagu za polityką zagraniczną rządu Hitlera odnosi się do stosunków między partją socjalistyczną a faszyzmem, a nie do interesujących nas stosunków między stronnictwami robotniczemi. A przecież E. Zaleski napewno nie będzie przyrównywał do polityki Welsa, postępowania **wszystkich** organizacyj czy pism, które nie mogą spowodu naszych specyficznych warunków wiązać się oficjalnie z organizacją, stojącą poza nawiasem prawa.

Jakie więc formy organizacyjne może u nas przyjąć jedność walki ogółu robotniczego? Jedną z nich na terenie ruchu zawodowego są związki zawodowe, które po smutnych i nieudanych próbach rozłamu skupiają znowu wszystkich klasowo uświadomionych robotników. Inną formą wyższą, gdyż bardziej ogólną może się stać instytucja t. zw. Narad Robotniczych. Niestety Narada

Robotnicza Warszawy nie zafiksowała jednorazowego wysiłku przez wyłonienie stałego komitetu, któryby był autorytatywną instancją dla ogółu robotniczego we wszystkich zagadnieniach walki z kapitałem i reakcją. Takie Narady Robotnicze (względnie Robotniczo - Chłopskie) wraz ze stale funkcjonującemi komitetami byłyby najdogodniejszą formą skupienia wszystkich robotników i stałyby się ośrodkiem, dookoła którego gromadziłyby się radykalizujące się masy i poszczególne organizacje mas pracujących.

Poświęciłem tyle miejsca sprawom „formalnym", gdyż uważam je za najistotniejszą przeszkodę u nas do zawarcia porozumienia na wzór francuski. To też, zdaje mi się, że nie są usprawiedliwione w zasadzie inne argumenty, używane przez niektórych przywódców partyj socjalistycznych. Kwestje natury programowej mogą jedynie przeszkodzić konsolidacji, wzajemnej ufności, a co najważniejsze **jedności organicznej**, ale nie stanowią zasadniczej przeszkody na drodze do utworzenia jednolitego frontu.

Jednakże do różnicy zdań, które mamy na terenie żydowskiego ruchu robotniczego na ten temat należy podejść nie formalistycznie, lecz konkretnie. Oczywiście, że do jedności akcji bynajmniej nie jest potrzebne wzajemne uznanie się za części klasowego ruchu robotniczego. Ale należy zrozumieć, że zawarcie porozumienia na terenie żydowskim nie będzie miało za skutek rozwoju jakichś masowych akcyj ze względu na sam charakter żydowskiego ruchu robotniczego, który nie może odegrać żadnej samodzielnej roli. Do akcyj ekonomicznych na terenie żydowskim wystarczy urzeczywistniena jedność związków zawodowych. Jednolity front tylko na ulicy żydowskiej miałby duże znaczenie właśnie dopiero wtedy, gdyby stworzył nową atmosferę szczerego braterstwa między klasowo uświadomionymi robotnikami. Dlatego też wodzowie Bundu, którzy wiedzą co ryzykują przez formalny pakt, chcą by gra była warta świeczki i domagają się uznania ich za partję klasową. Tembardziej, że mogą powołać się na przykład jednolitego frontu w Austrji, gdzie obydwie strony uznają się za równouprawnione strony rewolucyjnego ruchu robotniczego no i... na niezręczność parlamentarjuszy drugiej strony, którzy sami podpisali słynny „punkt 4".

E. Zaleski słusznie wykpiwa ów zapał do studjów historycznych, gdy chodzi o konkretną akcję. Bez wątpienia, historja jest cenną nauką, ale przeszłość nie może zasłaniać nam teraźniejszości. Ale przecież ów zapał do homerycznych bojów o historję z przed trzydziestu pięciu lat jest właśnie charakterystyczny dla obozu, który właśnie reklamuje się (co należy zresztą przywitać z uznaniem) swem dążeniem do jedności (przypomnijmy sobie dyskusję z „trockizmem", „luksemburgizmem", tragiczną śmierć historyka Słuckiego i t. d.). Faktem jest jednak, że prawdziwie szczera jedność, a nie chwilowe współdziałanie, gdzie obydwaj partnerzy prawią sobie komplementy przy zachowaniu wewnętrznej nieufności jest niemożliwa bez gruntownej krytyki przeszłości. W szczególności, jeżeli chodzi tu o „historję" z dwóch lat, gdy dzisiejsi bojownicy o braterską jedność, wyzywali swych przeciwników w obozie robotniczym od „socjal-faszystów", a samo hasło jednolitego frontu w obliczu hitleryzmu nazywali „projektem faszystowskim".

Żaden rozsądny robotnik nie uwierzy przecież, że warunki objektywne i partje socjalistyczne we wszystkich krajach kapitalistycznych zmieniły się tak raptownie i niby z tego powodu jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znikły wszystkie dawne epitety, wymysły i teorje. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że brak odwagi samokrytyki (ale tej prawdziwej) wobec dawnych koncepcyj nie może w szeregach socjalistycznych wywołać zbytniej ufności w szczerość zapałów jednościowych, drugiej strony. A wreszcie nie od rzeczy będzie tu wymienić najpoważniejszą przeszkodę na drodze do szczerego zbliżenia się i odbudowania jedności klasy robotniczej. Dopóki wzajemne stosunki różnych kierunków w ruchu robotniczym będą się znajdowały pod sugestją, obecnych metod rozprawiania się rządzącej grupy w ZSRR. z jej wszystkimi przeciwnikami z obozu robotniczego, dopóty niema mowy o szczerej atmosferze współdziałania poszczególnych odłamów robotniczych i co najważniejsza w sferze iluzyj i manewrów pozostanie hasło jedności organicznej proletarjatu.

Klasa robotnicza pomimo różnych poglądów pragnie jednak urzeczywistnienia jedności. Obowiązkiem każdego, który chce doprawdy przybliżyć moment zjednoczenia sił robotniczych winno być nietylko dostrzeganie przysłowiowej słomki(czy nawet belki) w obcem oku, lecz również i w swem własnem. Tylko w ten sposób sprawa jedności wyjdzie ze sfery lepszych lub gorszych „manewrów" i stanie się zadaniem bezpośrednio aktualnem dla ruchu robotniczego.

Artur Redler

Walka o przebudowę amerykańskiego ruchu zawodowego

Kryzys, jaki zaznaczył się wyraźnie w Amerykańskiej Federacji Pracy na jej ostatnim kongresie w październiku ub. r., trwa w dalszym ciągu, przybierając coraz to ostrzejsze akcenty. Istotą tego kryzysu jest starcie pomiędzy przedstawicielami tradycyjnej formy organizacji AFP, a zwolennikami nowych form ustrojowych w amerykańskim ruchu zawodowym. Podczas gdy pierwsi bronią organizacji, opartej przedewszystkiem o drobne związki, złożone z wysoce wyspecjalizowanych robotników, , skłonni są zaniedbywać akcję mającą na celu zorganizowanie szerokich mas napół wyspecjalizowanych lub zupełnie niewykwalifikowanych robotników — dążeniem ich przeciwników jest ogarnięcie jaknajszerszych mas przez związki zawodowe t. zw. „przemysłowe", jednoczące wszystkich robotników pracujących w danej gałęzi przemysłu, bez względu na ich specjalność zawodową czy też brak tej specjalności.

Dotychczasowa polityka AFP prowadziła nietylko do rozbicia ruchu zawodowego na drobne, często rywalizujące ze sobą organizacje, co utrudniało wspólną akcję w stosunku do przemysłu) lecz była też w

przeważnej mierze odpowiedzialna za niedostateczne wykorzystanie przez amerykańską klasę robotniczą tej pomyślnej dla niej konjunktury, ją przedstawiało rooseveltowskie prawodawstwo robotnicze. Przy odpowiednio zorganizowanej postawie AFP. prawodawstwo to pozwalało na zamknięcie w ramach ruchu zawodowego robotników tych gałęzi przemysłu „gdzie związki zawodowe albo wcale dotychczas nie docierały, albo też skąd musiały się wycofać w okresie powojennego osłabienia AFP. Faktem jest, że z polityki Roosevelta wyciągnęły największe korzyści te związki zawodowe, które zorganizowane były na podstawie przemysłowej (górnicy węglowi, tkacze, krawcy i in.) i które potrafiły nadać własny wyraz chwiejnym poczynaniom rządu i przeciwstawić się sabotowaniu nowego ustawodawstwa robotniczego przez scentralizowane organizacje przemysłowców. Również faktem jest, że niechęć egzekutywy AFP do organizowania związków „przemysłowych“ doprowadziła do zmarnowania żywiołowego pędu w kierunku unionizacji, jaki dał się odczuć parę lat temu wśród robotników wielu gałęzi przemysłowych, a tem samem przyczyniła się do wzrostu wśród nich wpływów takich demagogów jak ksiądz. Coughlin.

Względna słabość amerykańskiego ruchu zawodowego, jego rozdrobnienie, zbiurokratyzowanie i powolność reakcyjnym leaderom związków „rzemieślniczych“ stanowi może najistotniejszą przyczynę słabości całego ruchu lewicowego w Stanach Zjednoczonych, pozbawionego oparcia wśród szerokich mas pracujących. Dlatego też przedstawiciele wszystkich odłamów socjalistycznych i szczerze postępowych w tym kraju śledzą z natężeniem rozwój wypadków w łonie AFP, oczekując, że kryzys ten może stać się początkiem masowego ruchu zawodowego. Przybrawszy zaś charakter masowy i wyzwoliwszy się z pod władzy dotychczasowego kierownictwa, złożonego z reakcyjnej biurokracji związkowej, opartej o „arystokrację“ wyspecjalizowanych, dobrze płatnych robotników, związki zawodowe dojdą do należnego im głosu w walce o zmianę ustroju. Ci zwłaszcza, którzy dotąd naprożno oczekują powstania prawdziwej radykalnej „trzeciej partji“, liczą, że „przemysłowe“ związki zawodowe będą skłonniejsze do utworzenia Partji Pracy na wzór angielski (czemu usilnie opierają się leaderzy związków „rzemieślniczych“) i do zawarcia ewentualnego sojuszu z radykalnemi organizacjami farmerskiemi.

Przedstawiciele dwóch odmiennych ideologij zawodowych starli się ostro na ostatniem kongresie AFP. Wprawdzie zwolennicy związków „przemysłowych“ ponieśli porażkę, jednakże zachęceni uzyskaniem aż 40% głosów i bojową postawą znacznej ilości delegatów, postanowili kontynuować akcję. Zaraz po kongresie szereg związków zawodowych, już obecnie zorganizowanych „przemysłowo“, a mianowicie dwa związki krawieckie, związki tkaczy, kapeluszników, nafciarzy, górników i hutników wyłoniło Komitet dla Organizacji Przemysłowej. Przewodniczy mu John Lewis, prezydent związku górników węglowych, którzy są duszą walki z egzekutywą AFP i związkami „rzemieślniczemi“. Celem Komitetu jest przedewszystkiem dopomóc do zorganizowania się zawodowo robotnikom tych gałęzi przemysłu, gdzie istnieje pęd do tworzenia organizacji przemysłowej, sabotowanej przez AFP. Niektóre z tych przemysłów, jak np. stalowy, samochodowy i gumowy (opony!) zajmują pozycje strategiczne niesłychanie ważne zarówno ze względu na walkę ekonomiczną, jak i polityczną.

Uchwały posiedzenia egzekutywy AFP, które odbyło się przed kilkoma tygodniami, wykazał, że AFP nie zamierza zmienić swego dotychczasowego kursu i że raczej zgodzi się pozostawienie szerokich mas poza organizacją, niż na powstanie nowych związków „przemysłowych“. Komitet dla Organizacji Przemysłowej został wezwany przez egzekutywę do rozwiązania się. Odpowiedzią na to wezwanie był kongres związku górników (United Mine Workers), na którym prezydent AFP, William Green, po długiej oracji pozyskał sobie aż 3 głosy! Pozostali delegaci, w liczbie około 1700, wypowiedzieli się entuzjastycznie za Komitetem i polityką swego prezydenta, Lewisa. W ten sposób związek górniczy, liczący pół miljona członków i rozporządzający funduszem przeszło dwóch miljonów dolarów, wypowiedział się za dalszą akcją na rzecz związków „przemysłowych“.

Jest rzeczą prawdopodobną, że choć Komitet nie dąży do rozbicia AFP, bezkompromisowe stanowisko egzekutywy tej organizacji zmusi związki biorące udział w komitecie akcji, do stworzenia niezależnej federacji. Sprawa ta rozstrzygnie się zapewne jesienią na najbliższym kongresie AFP! T. Z.

St. Rudniański

Zagadnienie racjonalizacji pracy umysłowej na zachodzie i w Z. S. R. R.

III. ZADANIA PRAKTYCZNE, NASUWANE PRZEZ WZROST MÓZGOWCÓW.

1. Zadanie ułatwienia przestrzennej organizacji pracy umysłowej (konieczność masowego wytwarzania specjalnego sprzętu technicznego).

Obustronne zbliżenie pracy fizycznej i wysiłku mózgowego, olbrzymi i niesłychany wzrost kadr pracowników umysłowych nadaje dziś coraz większą wagę zagadnieniom higjeny, organizacji i techniki pracy umysłowej. Przyznać trzeba bezstronnie, że warunki higjeniczne i techniczne, w których dokształcają się samodzielnie i pracują organizacyjnie setki tysięcy robotników i włościan sowieckich, odbiegają znacznie od najnowocześniejszego wyposażenia zewnętrznego technikumów, rabfaków, wuzów, wtuzów oraz instytutów i pracowni naukowych. To też wspomniane instytucje, mimo że stoją otworem dla każdego uzdolnionego masowca, nie mogą z natury rzeczy stać się masowemi ośrodkami urabiania racjonal-

nych nawyknień i sposobów pracy umysłowej. Powstaje tedy w płaszczyźnie wciąż aktualnego zagadnienia racjonalizacji wysiłku mózgowego palące zadanie stworzenia **warunków konkretnych**, ułatwiających masom proletarjackim wdrożenie się do nowego rodzaju pracy i wydobycie z niej najbardziej wartościowych wyników.

Do tych warunków należy przedewszystkiem elementarne **umeblowanie** miejsca pracy, t. zn. krzesło i stół, odpowiadające wymaganiom higjeny pracy umysłowej. Otóż, jak powiada jeden z uczonych sowieckich, „mamy w naszych poradnikach popularnych wskazówki, jak powinno wyglądać krzesło robocze mózgowca, jak należy utrzymywać w porządku stół, jak rozłożyć na nim racjonalnie materjały piśmienne i inne pomoce do pracy umysłowej, — szwankuje u nas natomiast produkcja masowa standaryzowanego sprzętu, któryby obsługiwał jak najszersze rzesze pracowników umysłowych, t. zn. wytwarzanie tanich i praktycznych krzeseł, biurek, etażerek, szaf bibljotecznych". Inni fachowcy domagają się zwielokrotnienia produkcji pomocy technicznych, odgrywających tak znaczną rolę w procesie pracy mózgowej, a więc piór wiecznych, maszyn do pisania, adjatorów, kartotek, kart rozdzielczych, skoroszytów, notatników z luźnemi kartkami, zaopatrzonych w rubryki chronometrażu i rozplanowania pracy i t. p.

2. Walka o umiejętne wyzyskanie czasu. Udoskonalenie i zwielokrotnienie produkcji sprzętu technicznego, niezbędnego dla pracy umysłowej jest dziś możliwością m. in. ze względu na to, że coraz szersze koła pracowników sowieckich zdają sobie sprawę z doniosłości i aktualności zagadnienia racjonalizacji pracy umysłowej. Świadczy o tem żywiołowość i masowość zainteresowania się sprawami **planowania i obliczania czasu roboczego** w związku z postulatem osiągnięcia największej wydajności w możliwie najkrótszym i najumiejętniej rozłożonym czasie. Ale sam podmiotowy czynnik zainteresowania nie jest jeszcze dostateczną rękojmią realizacji zarówno omówionych warunków przestrzennych, jak racjonalnej organizacji pracy umysłowej w czasie: istniała już przecież w r. 1924 „Liga Czasu", która zgasła przedwcześnie po wydaniu rozmaitych haseł *), wskazówek i t. d.; pozatem zaś prowadzona była już wówczas na rozmaitych kursach partyjnych, w rabfakach i w instytutach sztuki teatralnej propaganda racjonalizacji wysiłku mózgowego w formie specjalnych wykładów i seminarjów **).

Smutny los „Ligi Czasu" uwarunkowany był technicznym i kulturalnym poziomem Z. S. R. R. w r. 1923 — 24: brakowało wówczas jeszcze dostatecznych przesłanek objektywnych dla walki o umiejętne wyzyskanie i zaoszczędzenie czasu, sprawność bowiem środków komunikacji i transportu szwankowała tak dalece, że nie mogły one się stać czynnikami rozstrzygającemi w walce o czas. Inaczej zgoła przedstawiają się szanse zwycięstwa w dobie współczesnej: realizowanie rekonstrukcji socjalistycznej transportu, ulepszenie gospodarki komunalnej, utworzenie warunków dla automobilizacji kraju, wspaniałe sukcesy lotnictwa cywilnego — wraz z rekonstrukcją techniczną całego gospodarstwa narodowego — wszystko to stwarza **podstawę realną** dla rozwinięcia ruchu masowego w walce o czas, o ścisłość, dokładność, planowość i dyscyplinę również i w płaszczyźnie pracy umysłowej.

3. Postulat kolektywnej kontroli nad procesem wytwórczości umysłowej: a) uzasadnienie. Zadania, związane z realizacją postulatu racjonalizacji pracy umysłowej i z rozwinięciem ruchu masowego w obronie tego postulatu, nie zamykają się w ramach organizacji wysiłku mózgowego w przestrzeni i w czasie: chodzi tutaj również o wykonanie techniczne danej pracy, o **proces wytwórczy wykonywania.** Gdy jakaś instytucja lub zespół (np. brygada, układająca podręcznik) polecała dotychczas pewnemu pracownikowi wykonanie określonego zadania (np. napisanie książki lub artykułu, wygłoszenie referatu lub odczytu), zwracano wówczas główną uwagę na **wybór** samego tematu, na **termin** opracowania, no i oczywiście na ostateczny **wynik** pracy — na to, co wypadło w rezultacie krótszych lub dłuższych zachodów. Natomiast kwestja, **jak** pracował dany autor czy prelegent, jakie chwyty technicznie stosował w swej pracy i t. d., — pozostawała zazwyczaj poza obrębem uwagi kontrolującego kolektywu. A przecież tempo i wydajność pracy umysłowej zależą nietylko od przygotowania ideowego danego pracownika, od jego zainteresowania oraz podmiotowej gotowości do wydobycia z siebie maximum wysiłku, lecz określone są również w bardzo znacznym stopniu przez **organizację** pracy i **formy**, w jakich się dokonywa. Dla kolektywu, polecającego pewnej osobie opracowanie określonego tematu, nie może być tedy obojętne, **jak** ta osoba przygotowywała się do wypełnienia swego zadania: czy zbierała literaturę „po domowemu", czy też zgodnie z wymaganiami bibljologji nowoczesnej, czy przy lekturze książek robiła podkreślenia dorywczo, czy też według pewnego systemu, czy układała swe notatki w kartotece, zabezpieczając w ten sposób zachowanie zebranego materiału, czy też gromadziła go bezładnie, marnując niepotrzebnie cenne zasoby po doraźnem wykorzystaniu. Owe formy pracy odgrywają przecież znaczną rolę w kształceniu nowej inteligencji proletarjackiej, w wdrażaniu jej do nowego typu czynności, w przyśpieszaniu tempa pracy bez uszczerbku dla jej wydajności.

Oto geneza i zarazem uzasa-

---

*) Hasło podstawowe „Ligi" brzmiało: „Wpierw odsłoń mechanizm czasu, a potem dopiero reformuj!"

**) Zajęciom tym zawdzięcza swe istnienie doskonała książeczka prof. *I. W. Rebelskiego:* „Abecadło pracy umysłowej", najbardziej chyba rozpowszechniona wśród początkujących pracowników umysłowych (kilkanaście wydań po parę dziesiątków tysięcy egzemplarzy!).

dnienie postulatu zorganizowania sprawnej kontroli gromadzkiej nad procesem wytwórczym pracy umysłowej, nad jej organizacją i formami wykonania.

A postulat ten nie jest dziś bynajmniej tylko przedmiotem rozważań teoretycznych w sowieckiem piśmiennictwie fachowem: zajmuje on poczesne miejsce na łamach prasy codziennej — ba, nawet w utworach beletrystycznych i w literaturze dramatycznej.

F. Langer

Totalna wojna totalnego państwa*)

(Ideologja Reichswehry)

Wojna totalna wymaga również przejścia do porządku dziennego nad przepisami prawa międzynarodowego i nawet nad prawami ludów neutralnych. „Dążenie do usunięcia totalnej wojny podwodnej, to jest tego, żeby zatapiano każdy okręt, napotkany przez łódź podwodną w obrębie określonej zony, nawet pod flagą neutralną, będzie zawsze tylko pobożnem życzeniem, podobnie, jak już teraz jest niem zakaz obrzucania bombami ludności państw wojujących". Wobec tego Ludendorf jest tylko zupełnie logiczny, występując przeciw wszelkiemu rozbrojeniu, gdyż „narusza ono podstawowe prawa samoobrony".

Ludendorf jest rasistą i zajadłym antysemitą. Stąd jego nagonka na żydów, nie cofająca się przed najdzikszemi kłamstwami i niedorzecznościami. Podczas wojny światowej „coraz wyraźniej konkurowały ze sobą żądza władzy narodu żydowskiego i kościoła rzymskiego i jaskrawo przejawiało się dążenie do osłabienia narodów pozostałych, przez doprowadzenie ich do tego, aby sobie wzajemnie wytoczyły całą krew". Ludendorf żąda sparaliżowania ponadpaństwowych potęg żydowskiego i rzymskiego imperjalizmu, „których knowania działają rozkładowo na naród i których dążenia do władzy nad światem przekraczają ramy narodowe". Albowiem „żydzi i kościół rzymski zniweczyły spoistość ludu niemieckiego (podczas ostatniej wojny światowej) i zniszczyły fizycznie, gospodarczo i moralnie lud niemiecki".

Oczywiście, że generałowie niemieccy, na równi z „niezadowolonymi" i z „żydowskim i rzymskim imperjalizmem", wyklinają również i *robotników* niemieckich, pomimo, że robotnicy ci w ciągu czterech lat, karmieni brukwią i pozbawieni tłuszczów, wytwarzali dla Ludendorfa armaty i karabiny. „Robotnicy podczas ostatniej wojny światowej nie byli towarzyszami żołnierzy, nie oddali swej siły roboczej na usługi obrony narodowej, lecz dążyli do własnej korzyści i do politycznych celów, korzystając z trudnego położenia kraju i z trudnego położenia wojska". Przemawia tu znowu strach przed robotnikami, strach nieobcy zresztą i innym autorom wojskowym, jak w swoim czasie gen. Klausewitzowi, teraz angielskiemu gen. Fullerowi i t. p.

Bardzo ważny jest w książce Ludendorfa rozdział, poświęcony *wodzowi naczelnemu.* Przejawia się tu przeciwieństwo między hitleryzmem, który pragnie skupić pełnię władzy państwowej i kierownictwo całego życia gospodarczego w rękach „Führera", a armją, która żąda tego samego dla wodza naczelnego. Ażeby wódz naczelny mógł sam poradzić sobie z temi wszystkiemi zadaniami, nie odwołując się do „cywilbandy", musi skupić w swym sztabie również najtęższe głowy w zakresie polityki, gospodarstwa, propagandy itp. Ci fachowcy nie będą mieli, oczywiście, głosu decydującego i będą informować szefa sztabu tylko o tem, co zostało im zlecone. Według Ludendorfa, „wódz naczelny opiera się tylko na sobie samym. Jest on samotnikiem. Nikt nie ma wglądu do jego duszy, choćby podlegali mu najzdolniejsi i najrozumniejsi ludzie. Nikomu więc nie zdaje on sprawy".

Nie każdy nadaje się na wodza naczelnego (np. Wilhelm II). Wodzem naczelnym trzeba się urodzić. Jego władza jest olbrzymia. „Wódz naczelny musi już w czasach pokojowych dbać o to, żeby urzeczywistnić jedność wewnętrzną ludu na podstawach narodowych i żeby wychowywać w niej młodzież i dorastające pokolenie. Wódz naczelny musi dążyć ku temu, aby świadomość znaczenia tej spoistości dla wojny totalnej stała się wspólnem dobrem rządzących, administracji państwowej i całego narodu. Wódz naczelny musi sprawdzić, czy finanse i gospodarstwo odpowiada wymaganiom wojny totalnej i czy powzięte zostały zarządzenia, gwarantujące zachowanie życia narodowego i gospodarstwa oraz zaopatrzenie ludności i wojska... Wódz naczelny ustala wytyczne polityki, które muszą być zrealizowane w interesach prowadzenia wojny".

W ten sposób na wodza naczelnego mają przejść wszystkie środki władzy, które dzisiaj jeszcze nawet w państwie faszystowskiem, należą do głowy państwa, do „Führera" i do „rządu". Taki jest program Reichswery, która uważa widać, że zbliża się już właściwa chwila, aby zostawić wprawdzie Hitlerowi jego funkcje, ale pozbawić go jednocześnie rzeczywistej władzy. Rasistowska i antysemicka Reichswera czyni z wojny główny cel swej polityki, odrzuca wszelkie ograniczenia prawa międzynarodowego, chce zdemoralizować i zniszczyć ludność w krajach nieprzyjacielskich, wywołać w nich rewolucję, poddać je swojej woli i zdobyć dla Niemiec panowanie nad światem. Właśnie to nazy [redacted] sze: „furor teutonicus".

*) Patrz Nr. 4 „L. T."

A. Maleńkij

Fragment ze zbiorku „16 FABRYK“

Podczas wojny imperjalistycznej

(Bogosławska Huta Żelazna)

Wojna była przyczyną nieustannego wzrostu drożyzny. W roku 1915 pud mąki żytniej kosztował 95 kopiejek. W 1916 — 1 rubel, 35 kopiejek. Zwyżka wynosiła więcej niż 50%. Mięso dawano tylko zepsute, ryby i masło wogóle zniknęły z rynku. O podwyżce płac robotniczych nie było nawet mowy — przeciwnie, właściciele zatrzymywali po 4 — 5 miesięcy wypłatę tych groszy, które się należały robotnikom.

Jeńców wojennych uspakajano bambusami, Chińczyków bito bambusami i trzymano, jako więźniów. Robotnikom rosyjskim mówiono poprostu:

„Nie chcesz się podporządkować istniejącym warunkom — prosimy bardzo — karta mobilizacyjna — i do okopów na front, pod niemieckie kule. Właściciele fabryki odbierają wam kartę zwolnienia. Macie się stawić do biura wojskowego.

Gadzina szowinizmu pełzała po ulicach, przychodziła nieproszona do baraków i domków robotniczych. Wojskowi, zalewający fabrykę, policja, popi, dyrekcja — wszyscy bili na jedno. Wzniecić na fabryce nienawiść nacjonalistyczną, utopić w niej proletarjacką jedność i aktywność.

Kupcy i mieszczanie, jak nieprzytomni krzyczeli na wszystkich skrzyżowaniach ulic, że Rosja to najlepszy kraj na świecie. Że religja prawosławna jest jedyną prawdziwą, bogu miłą religją, że wszyscy nieprawosławni to heretycy, Tatarzy, bisurmani. Chińczycy jedzą żywe żaby i ptasie łajno. „Chachły“ mają wąsy umazane w łoju. Niemcy — dranstwo. Austrjacy — padlina. Niema na świecie napoju lepszego od ruskiego kwasu. Niema nic smaczniejszego od rosyjskiej kulebiaki. Sarafan — ach, jakiż to piękny strój.. Kożuch barani — najwspanialsze okrycie. Moskwa ze swymi tysiącem sześciuset cerkwiami — najpiękniejsze miasto. Tylko Rosjanie reprezentują najszlachetniejszy gatunek ludzki. Niemcy, Tatarzy, Turcy, Chińczycy, Austrjacy przeszkadzają rozwojowi rosyjskiej kultury. Bij Niemców! Nie poniżaj się przyjaźnią z Tatarem.

Już trzeci rok na osadę waliła się lawina szowinistycznych pocztówek, ulotek i broszur. Dzień w dzień, od pierwszej chwili wojny prasa państwowa krzyczała o okrucieństwach niemieckich.

„Baron“ — Bogosławskiej Huty Żelaznej znał właściwą cenę rosyjskiego patrjotyzmu, ale patrjotyzm ten był mu potrzebny, jak węgiel i ruda wielkim piecom. Ostrożnie, wnikliwie, codziennie, baron i jego pomocnicy szeptali nieuświadomionym warstwom robotniczym:

„Chińczycy, Tatarzy i Niemcy są winni wszystkiemu. Cierpisz przez Chińczyków i Tatarów. To oni godzą się pracować po 12 — 14 godzin dziennie za marne grosze, aby zbijać pieniądze. To oni godzą się spać zimą na podłodze w nieogrzewanym baraku. Cierpisz przez Chińczyków, Tatarów, Niemców i Austrjaków. Twoim najgorszym wrogiem nie jest baron, nie są kapitaliści, lecz Tatarzy i Chińczycy, antychryści, poganie — ludzie ostatniego gatunku. Bij Tatarów, bij Żydów, bij Chińczyków!

W archiwach Bogosławskiej Huty Żelaznej — zachował się pewien dokument — bilans Towarzystwa Hutniczego za potworny rok 1916. Przytaczamy go na dowód bezczelności kapitalistycznej.

PRZYCHÓD.

Otrzymano ze sprzedaży	40.352.936 rubli

ROZCHÓD.

płace robotnicze	16.066.214 „
płace urzędnicze	2.341.805 „
zakup materjałów	13.128 „
podatek	318.441 „
amortyzacja maszyn	169.290 „
djety i świadczenia	305.548 „
wydatki wojenne (transport Chińczyków, należności jeńcom wojennym itp.)	858.507 „
wydatki Zarządu (pensje, premje i inne)	450.000 „
procenty za obligacje akcjonarjuszy	450.000 „
koszty handlowe, transport, ładowanie i inne	300.000 „
razem	28.352.936 „
Różnica wykazuje *dochód*	12.000.000 rubli

Przy koszcie własnym produkcji, wynoszącym 28 miljonów rubli kapitaliści wyżyłowali z robotników 12.000.000 rubli. Przyczem należy wziąć pod uwagę, że koszt produkcji 28 miljonów, stanowi pozycję mocno naciągniętą, wliczono do niej bowiem pół miljona rubli procentów od obligacyj, to jest dochodu kapitalistów i nie wykazano zupełnie pozostałości wytworów i surowca, które w rzeczywistości wynosiły niemniej, niż 15 miljonów, czyli 50% sumy ogólnej kosztów własnych.

Wojna była eksploatowana, niczem tereny złotodajne. W przeciągu trzech lat dochód Bogosławskiego Towarzystwa wzrósł trzykrotnie, a suma wypłacanych rocznie dywidend powiększyła się dwukrotnie.

Im większe były cierpienia robotników, tem szerszym strumieniem płynęło złoto do kieszeni kapitalistów, bez względu na to, że wobec ogólnego, spowodowanego wojną kryzysu gospodarczego przetop żelaza i stali uległ zmniejszeniu. Cena żelaza w tym czasie wzrosła prawie dwukrotnie. Produkcja fabryki w roku 1916 wyniosła tylko 73% produkcji z 1910 roku, podczas gdy dochód w tym samym czasie wzrósł czterokrotnie. W ten sposób eksploatacja sił robotniczych była w tym okresie czasu 2—3 razy większa, niż w latach poprzednich.

Dokument powyższy należy do-

kładnie przestudjować i zastanowić się nad nim. Kapitaliści nie mieli pieniędzy na wypłacenie dwutygodniowej pensji robotnikom idącym na front, ale wyżsi urzędnicy przedsiębiorstwa w samym tylko roku 1916 otrzymali około pół miljona premij. Baron otrzymał w tym roku 40.000 premji, plus 40.000 gaży, plus kilkadziesiąt tysięcy dywidendy za będące w jego posiadaniu akcje towarzystwa. Do tego należy jeszcze wliczyć koszt utrzymania Zarządu, wynoszący 450.000 rubli oraz pozycję djet i świadczeń, poza któremi kryją się dalsze dochody tych samych urzędników.

Robotnicy zatrudnieni w fabryce nie mieli prawa do żadnych świadczeń. Z całej sumy obrotu, wynoszącej 40 miljonów rubli na 40.000 robotników okręgu przypadło około 16 miljonów, to jest po 400 rubli rocznie na robotnika, czyli nieco ponad 30 rubli miesięcznie. Ale żaden robotnik nie otrzymywał w całości nawet tych 30 rubli. Przedsiębiorcy czerpali z tego dodatkowe zyski, odliczając po 5 kopiejek na kupony pożyczki wojennej, po 10 kopiejek za używalność łaźni, dalej za lekarstwa, drzewo, ziemię pod ogródki, za baraki, za jedzenie — słowem wyczyniano takie sztuki z temi 30 rublami, że połowa z nich powracała odrazu do kieszeni kapitalisty. Druga połowa wędrowała do kieszeni kupców i popa.

Oto jeszcze jeden ciekawy i charakterystyczny dokument z tamtych czasów: dnia 5 maja 1914 roku zastrajkowali robotnicy Auerbachowskiej miedzianej i Bogosławskiej Żelaznej Huty. Chodziło o bardziej niż skromne żądania. Robotnicy domagali się mierzenia wydobytego surowca miarą, a nie na oko, to jest żądali zniesienia bezczelnego oszustwa przy odbiorze pracy, oraz podniesienia zarobków o.. jedną kopiejkę dziennie! 21 czerwca Wierchoturski inżynier górniczy doniósł Uralskiemu inżynierowi górniczemu:

„Mam zaszczyt zawiadomić Zarząd Uralskiego Towarzystwa Hutniczego, że żądania robotników Bogosławskich w sprawie podniesienia płac o jedną kopiejkę nie zostały uwzględnione przez zarząd Bogosławskiej fabryki, ponieważ zdaniem Zarządu płace robotnicze są doprowadzone do takiej wysokości, ponad którą wszelka podwyżka płacy robotniczej pociąga za sobą trudności w wydobyciu rudy i kurczenie się przedsiębiorstwa“ (?).

W kopalniach rudy miedzianej i żelaznej jeszcze w 1916 roku płace niektórych robotników wynosiły siedem kopiejek dziennie.

Czyż mogli kapitaliści nie błogosławić wojny i nie stanowić pierwszych szeregów rosyjskich patrjotów?

Napędzane do warsztatów ogromne rzesze 14—16-letnich chłopaków, których nieludzko eksploatowano. Zatrudnienie tych młodocianych robotników motywowano brakiem rąk roboczych. Szczególnie dużo młodzieży pracowało w warsztatach reparacyjnych. I to najmłodsze pokolenie robotników wschodnich wstąpiło na drogę walki.

Na dzieci szczególnie często sypały się kary. Młodzieńcy, nieomal dziecięcy organizm potrzebował dużo snu i źle znosił warunki pracy nocnej. Trzymaj się, trzymaj, chłopcze! Głowa opada coraz niżej. W mętnym korowodzie płyną transmisje, ludzie, warsztaty... Spać!... Silne kopnięcie budzi chłopca, który się schował w jakimś spokojniejszym kącie. Dzieciom liczono cztery godziny pracy, zamiast sześciu przepracowanych. Specjalnie wydelegowany inżynier doglądał nieletnich. Chłopcy robili mu kukłę z ubrań, wkładając do środka kawał stali, by kopnąwszy, uderzył nogą o stal, by i on poczuł, co znaczy ból. Przyklejano inżynierowi szmaty do pleców. Liczne konspiracyjne zebrania poprzedzały każde takie zdarzenie. Ileż było radości, ile satysfakcji, gdyż inżynier szedł po sali, a z tyłu merdał mu się zrobiony ze ścierki ogon. Przyglądano się temu przy ogólnych wybuchach niepowstrzymanego śmiechu. Rozwścieczony inżynier chwycił raz jednego z chłopców, podniósł i rzucił na maszynę. Chłopiec poszedł do domu, jęcząc, z krwawemi wylewami na całem ciele.

A w powietrzu już coś drgało. Nawet najmniej uświadomieni robotnicy zaczynali pojmować, że w atmosferze straszliwego ucisku, zawisłego nad krajem samowola nie może trwać jeszcze długo. Coś się miało stać — ale co?

Tłumaczyła *J. Tolwińska.*

Jean Guillon

Tamten wieczór

Opowiadanie pióra robotnika francuskiego ze zbioru: „Des ouvriers écrivent“ („Robotnicy piszą“). Editions Sociales Internationales. Paryż 1934.

„Znowu leje — wiejemy, chłopaki!“ Powiedział to któryś tak sobie, jakby nigdy nic. „Pewnie, że tak“ — odpowiedzieli tamci. I odeszli wszyscy. Stacja została opustoszała i smutna, jeszcze bardziej ponura od chwili, gdy ją opuścili ludzie. — Zdanie, które usłyszałem przed chwilą, wam ,oczywista, nie mówi nic szczególnego. Mnie zato cofa w przeszłość, do pewnego wieczora, gdy — podobnie jak dziś — lało jak z cebra.

„Wiejemy, chłopaki!“ Ważne mi chłopaki... Było nas czterech smarkaczy z dużego robotniczego baraku, brudnego i posępnego. Czterech szczeniaków od ośmiu do dziesięciu lat; ale nie mieliśmy się za nic, o nie! Przedewszystkiem trzeba było nielada cwaniaków, żeby się tak urządzić, jak my. Wykierowaliśmy się bowiem na władców udzielnych pewnego opuszczonego zakątka na dworcu towarowym. Wiem, co na to ludzie powiedzą. Że to nie było nic trudnego, bo urzędnicy stacyjni mieli nasze panowanie w pięcie. I że to była wojna. I inne temu podobne hopki. No pewnie, że był niezgorszy bałagan. Dość powiedzieć, że wcale nie było rządu i nic dziwnego, że takie urwisy, jak my,

miały z tego wielką frajdę. W każdym razie tak między nami powiedzieliśmy sobie, że władze kolejowe mamy „gdzieś“. I w tym naszym zakątku stacji wybudowaliśmy sobie nawet „chałupę“ z obtłuczonych płyt trotuarowych, ze zużytych podkładów kolejowych — a miejscami i z całkiem nowych... Od czasu do czasu przychodziliśmy do naszej budy wcinać prowianty, które udało się nam ściągnąć z wagonów towarowych.

Żyło się tam, jak na istnej zaczarowanej wyspie, poza codzienną rzeczywistością, z którą borykały się dorosłe osoby. Tylko że kiedy się stamtąd wychodziło, to zaraz napotykało się wojnę. Wszystko nam o niej mówiło. Nieobecność ojców. Brudni, zmęczeni żołnierze na ulicach. Ranni. Jeńcy niemieccy. Bony chlebowe. No, a cóż dopiero w szkole! Święty Boże, ileż to trzeba było narecytować się patrjotycznych wierszy, jak wyciągać wniebogłosy: „Ci, któ-rzy zbożnie pa-dli za oj-czyz-nę“... No i przy lada okazji — „Marsyljanka“. Co się tyczy „Marsyljanki“, to muszę wam powiedzieć, że zawsze robiło mi się nieswojo i przykro, kiedyśmy ją tak chórem wywrzaskiwali .(A śpiewać trzeba było bardzo głośno — „z uczuciem“). Ja zresztą wymawiałem: „Contre nous de la *tirelire*“... *) Zapytywałem się nieraz w duchu, co ma do roboty ta przeklęta skarbonka — innemi słowy: pieniądze — wśród tylu wzniosłych uczuć? W żaden sposób jednak nie mogłem tego pojąć. Głupi gówniarz, i tyle! — A więc wojna była wszędzie. Nawet w małych ilustrowanych broszurkach, które kupowało się co tydzień, nie było już Indjan, ani cowboyów, tylko bohaterowie z pod Verdun, Nancy i Ypres. „Bohaterowie“ — co do tego słowa trzeba się porozumieć: oczywista, chodziło o Francuzów i ich sprzymierzeńców. Wiadomo bowiem było raz nazawsze, że Bosze **) to tylko kocie szczyny, świnie et comp.

Ale tego wieczora, o którym opowiadam, nic nas nie bawiło, nawet sprawa Alzacji i Lotaryngji. Mokliśmy na deszczu, jak psiaki, a zimno było, że cholera brała. O, nie byliśmy ani za grosz dumni z siebie tego dnia! Już od godziny lataliśmy po stacji w poszukiwaniu węgla, a rezultaty były marne. Grzebaliśmy w stosach resztek paliwa z lokomotyw. Ale było tam naturalnie więcej żużla, niż koksu i nasze stare worki od kartofli były dopiero ledwie do połowy napełnione. A przecież mieliśmy i tak dobry „rejon“; w każdym razie lepiej było tutaj, niż naprzykład pod elektrownią, gdzie nadomiar zagrażała nam konkurencja ze strony chłopaków z północy kraju i Belgów. — Tak to zbieraliśmy dla domu opał na zimę, a matki nasze były z tego rade. O, bo trzeba było różnych „ale“ i „jeżeli“, żeby zimą dostać na mieście worek węgla. kiedy przychodziliśmy do składu, stukając naszemi grubemi sabotami, kupiec patrzał na nas spodełba, jak na łapserdaków; i tak-ci na nas gębę wykrzywiał, świntuch jeden, jakbyśmy ten jego węgiel chcieli brać zadarmo. No, nie mogę wprawdzie powiedzieć, żeby się trafiały wśród nas takie twarze, co to są spasione i białe jak zadki — ale to już inna historja.

Ale wróćmy do nas; a więc lało wtedy, jak krowa na pastwisku i wcale nie zanosiło się na to, żeby miało prędko ustać. Kaczy Dziób, największy siłacz z naszej paczki, zaklął szpetnie i powiedział nagle: „Wiejemy, chłopaki!“ Wyprostował się, przeciągnął, potem podniósł swój worek i zarzucił go sobie raptownie na plecy. Chwiejąc się trochę, ruszył w stronę naszej „chaty“. Poszliśmy za nim.

Na dworze zrobiło się ciemno. Byliśmy smutni. Nawet Crisoco nie śpiewał swojej piosenki, która zazwyczaj podnosiła nam ducha podczas naszych „kokosowych“ wypraw:

G.... na d.....
Do portek się klei...
Jak sobie łupnę,
To się odklei!

Rozpaliliśmy ździebko ognia, bo w ciemności czuliśmy się zbyt osamotnieni. Możnaby powiedzieć, że te minuty były trudniejsze do przetrwania od innych.

Tego wieczora, który była taki podobny do dzisiejszego, nie mieliśmy wcale ochoty bawić się w wojsko. Myśleliśmy niewiadomo o czem, znagła oddaleni od siebie, chociaż owładnięci tem samem milczeniem. Deszcz bębnił o dachy pobliskich wagonów. Nieopodal naszego ogniska tworzyła się mała kałuża wody. Widzę nas: siedzieliśmy trochę zgarbieni, z rękami machinalnie wyciągniętemi w stronę ognia. Zgarbieni ze zmęczenia i z tego smutku, który przyszedł nagle niewiadomo skąd. Każdy, tkwiąc w swojej oddzielnej skórze, w swoim oddzielnym kącie, myślał o czemś jemu tylko wiadomem. A wojna była za nami i szarpała nam serce pazurami, ta stara dziwka. Wojna! A przecież powiedziałem już wam przedtem, że nie wiedzieliśmy nawet dokładnie, co to jest takiego i zazwyczaj kpinkowaliśmy sobie z niej tylko, beztrosko upojeni własną młodością.

O czem myślałeś, mój kochany „Kaczy Dziobie“, stary kompanie z rudą czupryną? O, nie miałeś tego wieczora swojej bezczelnej miny, którą przybierałeś zazwyczaj, gdy — z wysokości swojej dziesięcioletniej osoby — robiłeś fujarkę na nosie staremu, pilnującemu dworca. Wiem... Od dłuższego czasu nie było żadnej wiadomości od twego ojca, a o matce ludziska gadali, że puszcza się z żołnierzami ze szpitala. Czy pamiętasz jeszcze, jakie lanie sprawiliśmy szczeniakom z ulicy Wielkiej, którzy rzucili ci w twarz tę obelgę? — Crisoco także nic nie mówił i wyglądał, jakby płakał bez łez. Dwa tygodnie przedtem jego ojciec zginął pod Sommą. A potem cichaczem przyszła prawda: wcale nie padł w walce, tylko został sprzątnięty podczas ataku przez własnego porucznika! Crisoco, gdy się o tem dowiedział, przysiągł, że pomści swego ojca.

Deszcz padał ciągle. Nasz ogień dogasał. „Osesek“ dorzucił parę kawałków drzewa. Po chwili buchnął nieco jaśniejszy płomień. Zamieniliśmy kilka słów. W oddali rozległo się postękiwanie pociągu towarowego; potem usłyszeliśmy głuche odgłosy kroków i urywane słowa w obcym języku — to oddział jeńców niemieckich, za-

---

*) Nieprzetłomaczalna gra słów *tirelire* (skarbonka) — zamiast *tyrannie* (tyranja). Niezrozumienie przez dziecko tekstu „Marsyljanki“ wywołało u niego ten stały lapsus, polegający na zastępowaniu niejasnego terminu słowem podobnie brzmiącem, a oznaczającej dobrze znany przedmiot.

**) Pogardliwe przezwisko Niemców—odpowiednik polskiego: „szwaby“.

trudnionych na dworcu, powracał do swego obozu. I znów cisza. I milczenie czterech smyków, którzy rozmyślali o swoich ojcach: jednym zaginionym, jednym zabitym, jednym w Salonikach, innym znów pod Chemin des Dames. Mój ojciec! Nie widziałem go już od roku...

Takie to było milczenie czterech chłopców, którzy znienacka poczuli się mali i bezradni wobec ogromnego smutku, których ich przytłoczył i pojąć nie mogli, kto i jakiem prawem każe im cierpieć... Taki to był ten wieczór — skądinąd bez znaczenia — jak dzisiejszy. Wieczór, który nic nie zmienił w losach świata. A przecież tego właśnie wieczora coś nowego poczęło kiełkować w sercach czterech smarkaczy z Poitou.

Tłomaczyła
Henryka Łazowertówna.

RECENZJE

Ilja Erenburg. Sprzysiężenie równych. Przekład A. Turskiego. Warszawa, 1935, str. 272. Wydawnictwo „Znicz"

Ta, ostatnio w przekładzie polskim wydana, książka Erenburga nie jest właściwie powieścią ani reportażem, jest wynikiem dłuższych studjów historycznych autora nad okresem Wielkiej Rewolucji Francuskiej i jej wielkiego trybuna ludowego Babeuf'a. Oczywiście szczupłe źródła historyczne, jakie się dochowały, nie mogły dać całkowitego obrazu i tutaj utalentowany autor rozsnuł intuicyjnie dokoła faktów historycznych prawdziwe życie ówczesnej Francji rewolucyjnej. Postać Franciszka Gracchusa Babeuf'a została przez historyków mieszczańskich zbyt słabo oświetlona, dopiero niedawno doczekała się kilku opracowań, które ułatwiły Erenburgowi skreślenie wizerunku człowieka widzącego w rewolucji Francuskiej „tylko zwiastuna innej rewolucji, jeszcze większej i wspanialszej".

Urodzony w roku 1764 w St. Quentin Babeuf miał smutne dzieciństwo; ojciec jego, były major,— musiał na starość pracować, jako zwykły robotnik ziemny. „Był dumny — pisze Erenburg o ojcu— jak może być dumny jedynie kastylski żebrak". Ojciec uczył małego François łaciny, matematyki i niemieckiego, „uczył go także podczas długich wieczorów..., jak można marzyć i wytrwać". Później młody François został pisarzem u mierniczego i następnie zostaje mierniczym w niewielkiem miasteczku Pikardji. Cały swój wolny czas poświęca na czytanie Mably'ego i Diderota, ulubionym jego pisarzem jest J. J. Rousseau— który go natchnie do pierwszych rozmyślań. „Wyjaśnienie, jaki będzie ustrój społeczeństwa, w którem zapanuje zupełna sprawiedliwość, ziemia nie będzie należała do nikogo, jako własność całego ludu i wszystko będzie wspólne łącznie z wytworami rozmaitych rzemiosł" — pisał Babeuf do Aubois, sekretarza Akademji w Arras; innym razem w polemice listownej o jednolitem prawodawstwie dla wszystkich prowincyj Francji Babeuf oponując pisał: „Czyż prawa zniosą zbrodniczą nierówność"? Pozostaną głodne i chore dzieci obok przesyconego wszystkiem miljonera".

Upadek Bastylji uskrzydli 25-letniego Babeufa i pchnie go do Paryża, gdzie zobaczył rewolucję, widział tłum, wlezący na latarnię kontrolera finansów Foulona. Ten widok sprawia — pisze Babeuf do żony— że „byłem jednocześnie zadowolony i przybity... Rządzący, zamiast oświecać, uczynili z nas dzikusów. — Zbierają i zbiorą jeszcze to, co sami posiali. Wszak po tem, nastąpi dalszy ciąg, jeszcze straszniejszy! Widzimy dopiero początek...'

Po krótkim pobycie w Paryżu wrócił Babeuf do Roye, gdzie wydaje ulotkę krytykując władze municypalne i występuje przeciwko podatkom bezpośrednim na sól. „Podatki te— pisał Babeuf — spadają swym ciężarem na biedotę; sprzeciwiają się one idei równości obywatelskiej". Dzięki swej popularności w Roye— staje się Babeuf niebezpieczny, — wreszcie naskutek starań mera tego miasta został aresztowany i osadzony w paryskiem więzieniu Conciergerie. Wypuszczony wskutek żądania Marata Babeuf jest teraz bardziej zdecydowany, przystępuje do wydawania tygodnika „Korespondent Pikardyjski", gdzie drukuje uchwały Zgromadzenia Narodowego, ogłoszenia oraz artykuły filozoficzne samego Babeufa. W tych artykułach Babeuf krytykował system podatkowy, świętoszkowatość arystokracji pikardyjskiej, głupotę miejscowych władz administracyjnych i nie zapomniał o otaczającej nędzy. Wreszcie utworzył Babeuf przy piśmie „biuro porad", gdzie pouczał wszystkich pokrzywdzonych i udzielał im rad. Kilkakrotnie uwięziony i wypuszczony z więzienia walczy o prawdziwą rewolucję, gdyż „nie wystarczy jeszcze obalić królów — to nie jest jeszcze równość. Należy zapewnić wszystkim równe wykształcenie i prawo do pracy". Babeuf nie dał się porwać pierwszemu entuzjazmowi rewolucyjnemu, występuje zdecydowanie za podziałem ziemi i szydzi z urny wyborczej: rewolucję robi się nie przez obliczanie głosów, ale przez rozum, męstwo obywatelskie i bezinteresowność.

Wreszcie został zmuszony do opuszczenia Pikardji i oskarżony niesłusznie o fałszerstwo. Wyjeżdża do Paryża, gdzie głoduje i szuka pracy. Zażądał ponownego rozpatrzenia swej sprawy, za co został aresztowany, widzi rewolucję przez kraty więzienne, ani zwycięstwo wojsk rewolucyjnych pod Jemappe, ani zabójstwo Marata, ani dyktatura Robespierre'a nie uwolniły Babeuf'a.

Uwolniony już po upadku Robespierre'a Babeuf rozpoczął wydawać gazetę „Wolność Prasy" i założył „Klub wyborców", gdzie rozpatruje projekty ustaw społecznych i opracowuje petycje do Konwentu. Reakcja zaczyna już zwyciężać i dyrektorjat zamyka pismo i klub. Babeuf jednak niezrażony zmienił nazwę pisma na „Trybuna ludu", jest w dalszym ciągu gwałtownym i nieprzejednanym, dla niego rewolucja dopiero się zaczyna, stał się głośnym w całym Paryżu. Komitet Ocalenia Publicznego i Konwent wydały nakaz aresztowania Babeufa, który w

ukryciu redaguje w dalszym ciągu pismo, gdzie stwierdza, że „ich republika jest arystokratyczna i burżuazyjna, nasza zaś ludowa i demokratyczna... równość powinna istnieć nietylko na papierze... Dla próżniaków niema miejsca w społeczeństwie..."

Dyrektorjat, przestraszony buntem rojalistów, pozwolił zwolennikom Babeufa na otworzenie „Towarzystwa przyjaciół Republiki", które zwoływało swe zebrania w podziemnym kościele byłego klasztoru św. Genowefy. Babeuf jednak ścigany przez policję, nie może osobiście kierować działalnością klubu, ale pisze referaty, opracowuje rezolucje i omawia z przyjaciółmi program każdego zebrania. Skupił dokoła siebie wiernych i oddanych sprawie ludu: byłego huzara Germaina, entuzjastę Darthe'go i subtelnego arystokratę włoskiego Filipa Bounarot i wielu innych szczerych rewolucjonistów, wśród których była grupa robotników i resztki „sankiuktów". Babeuf ukrywa się w celach klasztornych, w piwnicach i na strychach wszędzie pisze i przekonywa, zbiera zwolenników „prawdziwej rewolucji"

Zamknięcie „Tow. Przyjaciół republiki", dokonane na rozkaz dyrektorjatu przez Napoleona Buonaparte rozproszyło „równych" po całym Paryżu, po kawiarniach i ogrodach. Babeuf nie ustawał, wydawał gazetę, odezwy do patrjotów i żołnierzy, pisał, że „rewolucja nie skończyła się, gdyż bogacze przywłaszczyli sobie wszystkie dobra i władzę, podczas gdy biedni ludzie pracują jak niewolnicy, męcząc się i nie uczestnicząc zupełnie w sprawowaniu rządów.

Przygotowany spisek „równych" został zdradzony przez niedawno przyjętego oficera Grisela. Babeuf w chwili wykańczania „Orędzia do zwycięskiego ludu" został dzięki interwencji Grisela aresztowany, już teraz po raz ostatni. W swem ostatniem słowie — mówił Babeuf—„Myślę o was ze smutkiem. Chciałem — żebyście byli wolnymi ludźmi". Książka utalentowanego pisarza sowieckiego Erenburga jest *wnikliwym*, na źródłach historycznych opartym, żywym obrazem wielkiego działacza rewolucyjnego, wyrastającego ponad swój wiek, bojownika, który zasłużył sobie na miano „trybuna ludu". Przekład naogół dobry, chociaż miejscami widać pośpiech. Załączony skorowidz znacznie ułatwi lekturę szerokim rzeszom czytelników.

André Malraux o Rosji Sowieckiej

W numerze 10 (642) „Wiadomości Literackich" ukazał się wywiad J. Grota z A. Malraux. Po wstępie, w którym dyskutowano o zadaniach pisarza i sztuki. Sztuka zdaniem A. M. jest „aktem ciągłego zdobywania", pisarz ten tak określił swój stosunek do komunizmu: „Mój stosunek do komunizmu nie jest bynajmniej suchą analizą ekonomiczną pewnego ustroju w pewnych warunkach miejsca i czasu. Jak zwykle moim punktem wyjścia jest człowiek, jednostka. Jaki jest podstawowy charakter cywilizacji komunistycznej? Komuniści zaufali człowiekowi. Po caryzmie dostali w spadku kobietę uciemiężoną, pogrążoną w straszliwej nędzy moralnej i materjalnej. Uczynili z niej kobietę sowiecką. Zaufali dzieciom i stworzyli z nich pionierów. Byłem świadkiem olbrzymiej manifestacji na Krasnoj Płoszczadi w Moskwie. Wśród innych delegacyj przechodził oddział przedtem bezdomnych dzieci, teraz pionierów. Ta grupa była najgoręcej oklaskiwana. Komuniści zaufali mordercom, złodziejom i sabotażystom—uratowali ich od zagłady moralnej i razem z nimi zbudowali kanał prowadzący do Morza Białego. Mimo wojnę domową, głód i tyfus, po raz pierwszy w dziejach ludzkości komuniści stworzyli doktrynę, polegającą na ufności człowieka do człowieka... — ...najwyższy sens słowa „sztuka", to uświadomienie w ludziach, o których istnieniu w nich samych ci nawet nie mają pojęcia. Ustrój sowiecki realizuje tę myśl w życiu samem. Np. plan pięcioletni, który cały przesiąknięty jest heroizmem — powiedziałbym — malowniczym heroizmem. W sprawie wolności wypowiadania się artystów sowieckich A. M. zaznacza, że uświadamiają sobie oni, że tylko żyjąc w zgodzie z cywilizacją swojego kraju, odnajdą źródło swego genjuszu. Faszyzm wspólnoty tego rodzaju nie może stworzyć, „gdyż zostawia pieniądzowi rolę dominującą. To jest już jedna z tajemnic kapitalizmu. W dziedzinie etycznej cywilizacja faszystowska potyka się o wszystkie sprzeczności świata burżuazyjnego. Spotkałem się z argumentami, że niemiecka literatura faszystowska jest zbyt młoda abyśmy mogli o niej wyrokować. Ale czyż prawie wszystkie najlepsze dzieła sowieckie nie powstały w epoce komunizmu wojennego, głodu i tyfusu? Spójrzmy zresztą na trzynaście lat faszyzmu włoskiego. Czyż przekazał nam jakąkolwiek cywilizację całkowitą?

...— Sądzę, że najwybitniejszą cechą cywilizacji sowieckiej jest jej humanizm, przez co rozumiem położenie nacisku na to co ludzi łączy, a nie co ich dzieli, wytworzenie męskiej wspólnoty, męskiego braterstwa".

Książki nadesłane

A. Ptaszkin — Ani sobie ani muzom — Warszawa, 1936 — Skł. Gł.: Dom Ks. Polsk.

St. J. Lec — Satyry Patetyczne- - Warszawa, 1936. Wyd. M. Fruchtman.

L. Pasternak — Dzień pochmurny — Warszawa, 1936 — Skł. Gł. Dom Ks. Polsk.

L. Łozowski — Faszyzm a rewolucja — Warszawa, 1936 — Wyd. „Myśli Socjal."

K. Górnik — Stachanowcy — Warszawa, 1936 — Wyd. „Semafor"

M. Rakoski — Front Ludowy czy Croix de Feu — Wyd. „Semafor".

I. Jurgielewiczówna i H. Radlińska — Wychowanie i nauczanie dorosłych — Nakł: Nasza Księgarnia" Zw. N. Polsk.

Lenin — „Dzieła Wybrane: — t. IV 1908 — 1914. Warsz. 1936—Skł. Gł.: D. Ks. Polskiej.

W. Argon — Ekonomja Polityczna Imperjalizmu Warsz. 1936. Wyd. „Tom".

Praca Oświatowa — miesięcznik Nr. Nr.: 2 i 3.

P. Peiper — Ma lat 22 — Kraków 1936 — K. Wyd. „Teraz".

Spółdzielczość w ruchu robotniczym

Nie zamierzam wyważać otwartych drzwi i dowodzić ważności zagadnienia spółdzielczego w ruchu robotniczym. Już dawno zostało powiedziane i ustalone, że spółdzielczość jest jedną z dziedzin walki robotniczej o nowy porządek. Chcę natomiast zająć się tem, jak w praktyce wygląda ta nasza praca organizacyjna na odcinku spółdzielczym.

Tu trzeba stwierdzić, że sprawa ta nie przedstawia się zbyt różowo. Są wprawdzie pierwszorzędne spółdzielnie robotnicze, ale stosunkowo jest ich mało.

Kilka lat temu wstecz, kiedy były w Polsce inne stosunki polityczne, cała prawie nasza uwaga zwrócona była na samorząd terytorjalny i ubezpieczeniowy. Tam mieliśmy swoje przedstawicielstwo socjalistyczne, pracownicy z tych instytucyj byli zazwyczaj kierownikami organizacyj robotniczych.

Ale czasy się zmieniły, zapanował teror, komisarze, wielu tych przywódców organizacyjnych albo wyrzucono na bruk, albo steroryzowano i odciągnięto od organizacyj robotniczych.

To są rzeczy wszystkim znane. Jeżeli to piszę, to dlatego, żeby móc łatwiej udowodnić sprawę budowania organizacyj spółdzielczych.

Jeżeli za czasów względnej wolności politycznej mieliśmy organizacje nawet w różnych zapadłych dziurach, kierowane przez pracowników instytucyj samorządowych — inna rzecz, czy ten system opierania pracy był właściwy, czy nie — to potem nasze życie organizacyjne zaczęło zamierać. Nie dlatego, żeby robotnik przestał być socjalistą, ale poprostu dlatego, że nie miał kto prowadzić organizacji, bo nie zatroszczyliśmy się o przygotowanie przywódców z samych robotników, związanych z terenem; bo nie było za co i komu utrzymywać lokali organizacyjnych; bo robotnicy nie mieli czegoś, coby ich silnie ze sobą zespalało. Czynniejsze i nieugięte jednostki prześladowano, zmuszano do emigrowania za chlebem.

Następowały błogie chwile dla reakcji i ich lokajczyków. Socjalizm „zamierał", położony był na obydwie łopatki — jak się często wyrażali.

I tutaj przystępuję do rzeczy. Gdyby w takiej zapadłej dziurze była spółdzielnia robotnicza, to: 1) byłaby tu konieczna więź organizacyjna; 2) mogłaby w niej być zatrudniona przynajmniej 1 osoba niezależna, mogąca się oddać pracy organizacyjnej; 3) z nadwyżek spółdzielni możnaby część przeznaczać na pracę kulturalno - oświatową, na gazety, na książki; ewentualnie utrzymywać lokal organizacyjny. A ileż jest możliwości do pobudowania przez spółdzielnie własnego skromnego domu! W osadach robotniczych, liczących nawet 2—3 tysiące mieszkańców, mogłyby istnieć i pierwszorzędnie się rozwijać robotnicze spółdzielnie spożywców (spółdzielnie robotnicze wg. danych z całej Polski — należą do najlepiej zorganizowanych i gospodarujących się).

Znam wiele takich robotniczych miasteczek i osad, gdzie jest dużo robotników, a niema żadnej organizacji — z tych powodów, jakie wyżej wymieniłem.

Ale są i miasta drobne, że wymienię tylko takie Skarżysko, gdzie poza robotniczą spółdzielnią kolejarzy i przy wytwórni amunicji — niema żadnych innych spółdzielni. Albo taki Czerwony Radom! Dziesiątki naszych towarzyszy było i jest bez pracy i środków do życia, a w mieście, liczącem dziesiątki tysięcy robotników, niema organizacji gospodarczej robotników. Przecież przy uświadomieniu i solidarności klasy robotniczej Radomia możnaby dokonywać wielkich rzeczy w tej dziedzinie — bez żadnych absolutnie ofiar ze strony zorganizowanych; przeciwnie — organizacja ta daje zorganizowanym poważne korzyści materjalne.

Piszę tę słowa, znając z jednej strony gruntownie sprawę organizacji i prowadzenia spółdzielni spożywców, możliwości jej rozwoju i korzyści jej istnienia, z drugiej zaś strony znam dobrze warunki organizacyjne i całą gehennę pracy w małych ośrodkach robotniczych, gdzie częstokroć niema ani jednej światlejszej i aktywniejszej jednostki, na której możnaby oprzeć organizację.

I teraz niewiele jest pod tym względem lepiej. Prawda, że człowiek pracujący rozprostowuje kark i obserwuje się zjawisko pędu do organizacji. Żeby ten pęd jednak wykorzystać dla ruchu, trzeba budować organizacje na mocnych fundamentach, żeby one wytrwały, gdy przyjdzie nawet jeszcze chwila bardziej krytyczna.

Uważam, że budowanie robotniczych organizacyj spółdzielczych jest kładzenie właśnie takich mocnych fundamentów gospodarczych. Abstrahuję od kwestji przyczyn upadku wielu spółdzielni, w tem też spółdzielni robotniczych; od metod prowadzenia ich dzisiaj — chcę podkreślić wyłącznie ważność tej sprawy z punktu widzenia oparcia organizacji robotniczej wogóle. Tę ważność zrozumieli ludowcy, którzy ostatnio gorąco zajęli się sprawą spółdzielczości na wsi.

Chcę jeszcze dodać, że mówiąc o spółdzielniach robotniczych, jako o pewnej ostoi ruchu robotniczego wogóle, bynajmniej nie mam na myśli zaniedbania samych zasad spółdzielczych i podporządkowania spółdzielni interesom partji czy związków robotniczych. Można być w zupełnej zgodzie z temi zasadami, a jednocześnie osiągać zamierzony cel, gdyż jest rzeczą niewątpliwą, że dobrze i uczciwie prowadzona spółdzielnia robotnicza zawsze wpłynie dodatnio na prowadzoną inną pracę przez organizacje robotnicze.

Edw. Osóbka.

Redaktor i Wydawca—KONSTANTY BOBOWSKI.

Redakcja i Administracja: ul. T. Czackiego 6 m. 10. Tel. 2-11-52.

Redakcja i Administracja czynne codziennie od godz. 16—18.

Prenumerata roczna — 6 zł. **Prenumerata półroczna — 3 zł.**

Druk. Spółki Nakł.-Wydawniczej „Robotnik", Warszawa, Warecka 7.